Nr. 195. Lwów. — Niedziela dnia 24 sierpnia. Rok 1890.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.
Cena prenumeraty: We Lwowie / Na prowincji
Miesięcznie 70 ct. / Miesięcznie 1·10
Kwartalnie 2·— / Kwartalnie 3·10
Półrocznie 4·— / Półrocznie 6·—
Rocznie 8·— / Rocznie 12·—
Numer kosztuje 4 centy.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU" we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.
Upraszamy prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.
Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują: Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 2, „ przy ulicy Karola Ludwika liczba 6, „ „ Jagiellońskiej liczba 4, „ „ Słowackiego (obok łazienek Dianny), Biuro Dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: E. 13 po Ś. św. Bartł. Jutro: św. Ludwika kr. | Adres Redakcji i Administracji: ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 5 m. 13, Zachód „ „ 6 „ 48 | Długość dnia 13 g. 35 m. Ubyło dnia 3 min.

Przegląd polityczny.

Lwów 23 sierpnia.

Zanim następny numer naszego pisma dojdzie do rąk czytelników, zjazd petersburski będzie skończony. Płynąc po zimnych falach Bałtyku, cesarz Wilhelm pogrąży się w myślach o rezultatach swych usiłowań, których jedynym celem: utrzymanie pokoju i utrwalenie pod nim grząskiego gruntu, na jakim go postawiły dwie ostatnie wojny. „A nic nie chcę, oprócz pokoju" — mówi czynami swymi Wilhelm: — nic też innego nie chcą narody, wystraszone przerażającemi okropnościami, jakie wojna, prowadzona z zastosowaniem wszystkich ostatnich wynalazków, przynieść może. Pragnienia narodów zbiegły się więc z intencjami młodego monarchy o bronzowej twarzy i oku błyszczącem, — zbiegły się, więc budząc w pierwszych przesadny optymizm, a drugiego obarczając ogromną odpowiedzialnością. Zdobył popularność — on, cesarz znienawidzonych Niemiec! — stał się Benjaminkiem opinji publicznej w całej Europie; nawet Francuzi mówią o nim: „Może stać się władcą, którego przyjście na świat będzie ludzkość obchodziła jako dzień uroczystości!" (słowa deputowanego Lavisse w *Temps*); nawet Amerykanie wołają: „Ze zdumieniem patrzymy na syna Hohenzollernów, trzymającego wielką chorągiew, na której promiennemi złotemi jaśnieją wyrazy: „Pokój wam! — Niewolniku fabryczny, bądź człowiekiem!" (słowa delegata amerykańskiego Felpsa).

Ta popularność, wiara w jego intencje i zupełne zaufanie, jakiem darzą go społeczeństwa — wszystko to pryśnie odrazu, jeśli zamiast pokoju i wielkich reform socjalnych świat ujrzy morderczą wojnę. Więc ogromną odpowiedzialność czuje może Wilhelm i niecierpliwić się, że taki zapanował optymizm.

A jest on w istocie przesadny, niezdrowy — i jest rodzicem kombinacji zabawnych, pomysłów dziwacznych. Cóż naprzykład bardziej naturalnego nad to, że panowie Giers i Caprivi, pozawiązują się w Narwie, oddali sobie wizyty trwające po pół godziny? Wszakże oprócz tego, że są ministrami, są także ludźmi towarzyskimi, a muszą się zastosowywać do form światowych. Dalej, cóż dziwnego, że onegdaj zeszli się na dwugodzinną gawędę? Wszakże jest mnóstwo kwestyj, jest potrzeba poznania wzajemnych poglądów, jest wreszcie obowiązek okazania sobie grzeczności, nawet niechęci, jakiej stroniania. Gospodarze z gośćmi, goście z gospodarzami zawsze o czemś rozmawiać się starają. Z tego nie można snuć żadnych politycznych wniosków, bo światowi ludzie nigdy nie okazują złego humoru, chyba z wyrachowaniem.

A jednak z tych faktów, że panowie Giers i Caprivi wzajemnie się odwiedzili i że potem zeszli się na dwugodzinną gawędę, wysnuto kombinację: cesarz i car zgodzili się na zwołanie powszechnego europejskiego kongresu, na którym wszystkie niezałatwione a groźne kwestje będą rozsądzone sprawiedliwie, po przyjacielsku, tak, jakby to się działo gdzieś w Arkadji. Ten sąd rozjemczy, na którym procesujące się strony będą zarazem składały trybunał, odbędzie się w późnej jesieni. A tymczasem, jako wstęp do tej akcji, przyjdzie do skutku zjazd trzech cesarzy. Bujna wyobraźnia panów dziennikarzy podyktowała im nawet miejsce tego zjazdu, ale efekt pomysłu tego niedogodny właśnie na tym punkcie. Jedna grupa powiada, że postanowiono w Petersburgu okazać Austrji jak największą uprzejmość, więc zjazd odbędzie się na ziemi austrjackiej i to jedni mówią, że na Szlązku, inni że w Galicji. Druga grupa twierdzi, że Równo albo Dubno, podczas wielkich manewrów, będzie oglądało trzech monarchów z ich świetnemi dworami.

Czy warto obalać takie bajeczki? Nie. One są jak bańka mydlana, którą dość jest podnieść na słomce i zawołać: „Patrzcie!" aby wnet prysła bez śladu.

Więc pokazawszy tę bańkę, kończymy. Warto przecież jeszcze zanotować, że petersburska prasa przewidywała, iż z objawów gościnności wysnute będą za granicą kombinacje polityczne i zawczasu odrzuca takie skutki zjazdu. Przytaczamy słowa *Nowego Wremienia*: „Jesteśmy dla gości uprzejmi, gościnni, dawnym narodowym zwyczajem zdjęliśmy dla nich koszulę z ciała. Niepodobna, aby naród, który za godło swej zagranicznej polityki ma słowa *Nec spero, nec timeo* (nie spodziewam się, nie obawiam) przemawiał innym tonem, zwłaszcza który słynie z uprzejmej gościnności, którą na zachodzie nieraz tłómaczono opacznie. Jest nader ważne, aby nasze teraźniejsze: „Witajcie!" było wszędzie dobrze zrozumiane, bo od tego wiele na przyszłość zależy." W istocie, kto dobrze zrozumie owo „Witajcie!" i odróżni gościnność od interesu, ten nie dozna zawodu.

We Francji powstanie niebawem nowe parlamentarne stronnictwo, którego utworzenie zapowiadano już od ostatnich walnych wyborów. Będzie to tak zwana „grupa niezawisłych", utworzona z monarchistów, godzących się z rzeczpospolitą. Już podczas ostatniej sesji izby deputowanych garść monarchistów zachowywała się z niezwykłą niemocą, obecnie zaś rozdwojenie jest niemal faktem dokonanym. Jeżeli wszakże z połowy swych członków robi dla rzeczypospolitej ofiarę, nie należy się łudzić, co do istoty sprawy. Przywódzca nowej grupy, Dugué de la Fauconnerie, z otwartością zbyt wielką jak na polityka, wyznał otwarcie, co skłania monarchistów do zgody z rzeczpospolitą. „Chcemy — rzekł — aby część członków stronnictwa pogodziła się z dzisiejszą formą rządów w tym tylko celu, aby zyskać na popularności i w czasie wyborów osiągnąć kosztem republikanów zwycięstwo". To też prasa republikańska daje wielce ostrą p. Dugué de la Fauconnerie odprawę. Celuje zaś w tem zwłaszcza prasa *Temps*, który odrzuca stanowczo ofertę, jaką monarchiści mają zamiar złożyć rzeczypospolitej.

Piszą nam z Berlina:

Socjaliści niemieccy chcieli odbyć w ubiegły wtorek w Berlinie zgromadzenie, które budziło wielką ciekawość, gdyż socjalistyczny poseł do parlamentu niemieckiego Singer zapowiedział mowę o niesnaskach w obozie socjalno-demokratycznym.

Zgromadzenie to nie przyszło jednak do skutku, bo władza w ostatniej chwili je zakazała na podstawie obowiązującej jeszcze ustawy antisocjalistycznej. Socjaliści zwołali więc na drugi dzień tj. na środę zgromadzenie do browaru w Friedrichshain koło Berlina, lecz władza i na to nie pozwoliła. Powód tego zakazu w obu wypadkach jest następujący: Singer wydalony jest z Berlina na podstawie ustawy antisocjalistycznej. Już po tem wydaleniu wybrano go posłem. Chociaż więc wydalony, przyjeżdżał jednak do Berlina, a policja nic mu za to zrobić nie mogła, gdyż jako poseł jest nietykalny. Teraz wydając zakaz odbycia zgromadzenia, na którem Singer miał przemawiać, umotywowała go policja berlińska w następujący sposób: Pan Singer jest posłem — to prawda — i jako taki jest nietykalnym, ale na tej podstawie przysługuje mu prawo przebywać w Berlinie wtedy tylko, gdy parlament obraduje, jeśli parlament jest odroczony nie wolno mu pokazywać się w stolicy. Socjaliści zwołali więc na przyszły tydzień 2 zgromadzenia i na niem mówić będzie Bebel, który nie jest wydalonym z Berlina. Niektórzy chcieliby, aby i Liebknecht przemawiał, lecz spotkałby go taki sam los jak Singera, gdyż także jest wydalony.

Zgromadzenie to zajmie się przedewszystkiem obesłaniem najbliższego międzynarodowego kongresu robotniczego, który odbędzie się w r. 1891 w Szwajcarji, a następny w roku 1893 w Chicago. Amerykańscy specjaliści spodziewają się, że kongres w Chicago dopomoże do ostatecznego zwycięstwa ruchowi za zaprowadzeniem ośmiogodzinnej pracy. Memorjał wygotowany przez nich podnosi, jak wielkie rezultaty odnieśli już cieśle i stolarze amerykańscy, którzy pilnie urządzali bastówki.

Wedle tego memorjału urządzili cieśle i stolarze w 141 miastach amerykańskich bastówki, a w nich wzięło udział 54.850 robotników. W dwudziestu siedmiu miastach zaprowadzono już ośm godzin pracy, w 82 miastach dziewięć, a w sobotę ośm godzin. Oprócz tego w ośmiu miastach doprowadzili bastujący do tego, że czas pracy o połowę im skrócono, a płacę dwa razy podwyższono. To podoba się niezawodnie socjalistom wszystkich krajów i może niebawem pojawi się nowe hasło robotników: „Czas pracy o połowę skrócić, a płacę dwa razy podwyższyć," a potem znów nowe, jeszcze dalej idące, i tak bez końca. Pewien humorysta francuski przedstawił w następujący sposób agitacje socjalistyczne przyszłości: „Robotnik nie może pracować więcej jak jednę godzinę dziennie, bo potrzebuje co najmniej: 10 godzin na spanie, 2 godziny na zjedzenie śniadania, obiadu i kolacji, 2 godziny na umycie się, ubranie i uczesanie się, 2 godziny na przechadzkę, 2 godziny na wypoczynek, a 3 godziny na rozrywki. Co do płacy, to najniższa musi wynosić 10 franków dziennie, bo tyle potrzeba co najmniej, aby robotnik mógł przyzwoicie ubrać się, zjeść, wypić, pójść do teatru itd. Ktoś zapytał robotnika, skąd pracodawca ma wziąć fundusze na zaspokojenie tych żądań, a w odpowiedzi usłyszał: „To nas nic nie obchodzi!"

Korespondencje.

Warszawa 21 sierpnia.

(*P*) Kiedy w Petersburgu odbywają się festyny, utrwalające pokój europejski, jak zapewniają rosyjskie dzienniki z półurzędowym *Journal'em* na czele, — u nas wojskowość nie przestaje budować ufortyfikowanych obozów, wznosić magazynów i fortyfikować Warszawy. Pod Łęczycą i Włocławkiem stanęły takie wały, przekopy i sklepione baterje, jak w prawdziwej twierdzy. Między wojskowymi panuje duch wcale nie licujący z kordyalnością teraźniejszą w Petersburgu. Gawędy o wojnie są najmilszą zabawą. W dzień uroczystego powitania Wilhelma II w Narwie, oficerowie kazali przynieść do kasyna swego honorowe trąbki z napisem wyżłobionym w miedzi „Za Berlin", dane jednemu pułkowi na pamiątkę wkroczenia do pruskiej stolicy — i na tych trąbkach wygrywali marsze wojenne, śpiewając chórem pieśń bojową zaczynającą się od słów „Sława nam, śmierć wrogom!" — Jednakże, jeśli panowie rycerze rzeczywiście doczekają się wojny, to chyba tym razem nie poniosą swych trąbek do Berlina. Pomimo olbrzymich przygotowań, wciąż jeszcze wątpią o dostateczności swych sił; właśnie przed paru dniami na jednym odczycie dla oficerów (a odczyty te odbywają się ciągle) dowodził pułkownik jeneralnego sztabu, że plan kampanji musi być taki: obrona twierdz i przepraw w Królestwie, a główna wojna na Litwie z Prusakami, na Wołyniu zaś i Podolu z Austrją. Z tego widać, że ci, co śpiewają o sławie dla siebie i o śmierci wrogów, w chwilach zastanowienia myślą tylko o obronnej kampanji.

Nam to zresztą wszystko jedno, bo mamy ciągłą wojnę, ciągłe burzenie i rujnowanie kraju. W trosce swej o to, abyśmy nigdy nie zaznali spokoju, nie wżyli się w stosunki i nie potrafili do nich się zastosować, rząd ciągle coś przerabia, a zawsze na gorsze dla wszystkich, nawet dla włościan, o których dobro dba niby szczerze. Oto teraz podniósł p. Hurko kwestję ustroju gminnego. Organizacja gminna — policyjna, sądowa i ekonomiczna — wyłoniła się z głowy osławionego księcia Czerkawskiego, funkcjonowała lat kilkanaście i wszystkie petersburskie pisma nie mogły się jej nachwalić, że uwolniła włościan od wpływu szlachty i duchowieństwa. W istocie, w tym kierunku była ułożona, aby powstała bezdenna przepaść nienawiści między ludem z jednej strony a dworem i plebanją z drugiej. Zawiodły jednak oczekiwania. Z początku włościanie rzeczywiście zaczęli sami się rządzić i sądzić, a okrutnie dokuczać właścicielom folwarków i wtedy to rosyjskie dzienniki zachwycały się ustawami gminnemi. Ale później, powoli zapanowały w gminach dobre stosunki, szlachciców poczęli chłopi wybierać na sołtysów i sędziów gminnych — więc oto cała organizacja gminna okazała się do niczego. Prasa ją przeklina, a p. Hurko zabrał się do przerobienia jej z gruntu. Więc posiadłości szlacheckie będą podobno całkiem oddzielone od gmin, a sądy gminne zniesione.

Te wszystkie dobrodziejstwa rządowe do ostateczności zniechęcają ludność. Tem się tylko tłómaczy szalona manja emigracyjna, która nagle się rozwinęła. Wszystko co może rwie się do Brazylji! Od Tomaszowa do Aleksandrowa wzdłuż całej granicy naszej, wszędzie włościanie, rzemieślnicy, robotnicy fabryczni, przedmieszczanie, wyprzedają się za byle co i ruszają do tej Brazylji. Z samej Łodzi wyemigrowało w tych dniach około sześciu tysięcy ludzi. Kierują się oni na Lizbonę, gdzie przybywa jakiś jeneralny agent José de Santos — zapewne nasz domorosły Josel, kuty na obydwie nogi bułtaj. Emigrują także Niemcy, ale do Południowej Afryki; emigrują żydzi ogromnemi tłumami, ale do Palestyny, do Natalu i republiki transwaalskiej, najmniej do Brazylji.

„Alliance universelle israélite" przez komitety emigracyjne, pozakładane przez siebie, otacza emigrantów żydowskich opieką i uprzedza o nieprzyjaznych dla emigracji warunkach miejscowych. Przez swoich ajentów przestrzega, aby żydzi nie udawali się do Brazylji, jako kraju całkiem obecnie nieodpowiedniego dla kolonizacji. Chrześcijańska emigracja nie posiada zaś żadnej organizacji, co się zgubnie odbija na nieszczęsnych wychodźcach.

Oprócz wielu innych związanych z emigracją objawów, mamy tu i „małżeństwa brazylijskie". Tak nazywają małżeństwa, zawierane jedynie w celu wyemigrowania. Ponieważ rząd obecny brazylijski ma rozdawać grunta tylko ludziom żonatym, posiadającym rodzinę, żenią się więc na gwałt kandydaci na emigrantów płci obojej, i udają się na miodowe miesiące za ocean.. Małżeństw tych mnoży się coraz więcej w warstwach robotniczych i rzemieślniczych.

In vino causa.

„Nikt cię nie ciemięży, ty, niezależny zwolenniku swobód! Lecz czy przypadkiem kufel cynowy nie jest twym ciemięzcą? Żaden z synów Adamowych rozkazywać ci nie ma prawa. Ale czy przypadkiem nie słuchasz rozkazów pełnego kufla? Jesteś niewolnikiem, tak, lecz nie Cedryka Saksona, jeno własnych twych brutalnych instynktów, które czerpiesz z tego przeklętego w dzbanie płynu. I ty bredzisz o wolności — ty, głowo do pozłoty!"

Tak wołał przeszło pięćdziesiąt lat temu w jednem z dzieł swoich moralno-filozoficznych głośny uczony angielski Carlyle. Kochał on ludzi, wierzył w ich ciągły postęp moralny, więc zapewne nie spodziewał się, że w pół wieku później mógłby znowu to samo zawołać.

A mógłby! Lud słucha rozkazów pełnego kufla. Jak imponująco domagał się on dwanaście dni temu w Brukselli powszechnego głosowania. Słowami, wypisanemi na chorągwiach noszonych po mieście, wołał:

„Jeżeli rząd pragnie uniknąć wojny domowej, powinien zaprowadzić prawo ogólnego głosowania." — „Obecnie jesteśmy niewolnikami i dopiero przez powszechne głosowanie staniemy się ludźmi." — „Tylko powszechne głosowanie zdoła rozwiązać pokojowo kwestję socjalną." — „Żyć w wolności i umrzeć w wolności, nie wierzyć, lecz wiedzieć." — „Powszechne głosowanie jest środkiem, komunizm celem naszym." — „Żądamy prawa powszechnego głosowania, które też w każdym razie uzyskamy, jeżeli nie pokojowo, to przez rewolucję!" — „Żołnierze, żądajcie wraz z nami powszechnego głosowania, a wtedy nikt was nie będzie śmiał poniżać do roli bratobójców." — „Wczoraj prosiliśmy, dzisiaj żądamy, jutro weźmiemy sami." — „Z drogi przed biedakami, miejsca dla ludu roboczego."

Jaka w tych słowach stanowczość! jaka siła iście rozpaczliwa!. Albo naprzykład w tej zmienionej zwrotce z marsyljanki, którą tłumy brukselskie śpiewały:

Vive la république
Socialdémocratique!
Passez, passez
Rois et bourgeois,
La peuple régnera!

Co tak potężnie przemawiało przez usta tych tłumów? Głęboko odczuta potrzeba powszechnego głosowania? Nieprzeparta, wymarzona, gwałtowna żądza idealnej równości na tym padole trosk i zawodów? Krzywda, paląca ciało, jak rozpalone żelazo?

Może ten i ów w owym tłumie czuł to wszystko; może i tłum cały piąte przez dziesiąte rozumiał, co wykrzykiwał i naprawdę pragnie tych zmian, których program wypisał na chorągwiach. Ale głównie przemawiała ustami tych ludzi — wódka.

Tak, ona, niestety! Bruksella liczy 400.000 mieszkańców i codzień wypija pewną ilość wódki. W 3 dni demonstracyj wypiła jej więcej, niż zwykle 60 000 litrów. To wymowne.

Francuski pisarz, który zwrócił uwagę na to, że zapewne musi być jakiś przyczynowy związek między demonstracjami a ilością wypitego alkoholu, dowodzi bardzo zręcznie, że od r. 1874, tj. od chwili, jak phylloxera spustoszyła winnice francuskie, hiszpańskie, nadreńskie, wskutek czego zamiast wyskoków winogradowych lud pić zaczął wódkę, zaczęły się też mnożyć zmowy, robotnicze rozruchy, wybryki brutalne i gwałty. Posłuchajmy autora. Mówi on tylko o Francji i sąsiedniej z nią Belgji.

„W r. 1874 z 1,900.000 hektolitrów ogólnej ilości wyprodukowanego alkoholu było tylko 540 000 hektolitrów, a więc 28% wina. W roku 1885 z 2,165.000 hektolitrów alkoholu było z winogron tylko 96.000 hektolitrów, a zatem około 4%. Wszystkim obeznanym z chemiczną analizą wiadomo, że wyskok z buraków, kukurudzy, zboża, ryżu, ziemniaków i t. p. zawiera w sobie daleko więcej pierwiastków szkodliwych, trujących, że wymaga zatem daleko dokładniejszej dystylacji. Podług analizy chemicznej stosunek ten jest jak 1 : 7; 130 gramów wyskoku nieoczyszczonego wystarcza do zabicia człowieka.

„Otóż od r. 1875 zniesiono we Francji i Belgji wszelki rządowy dozór i kontrolę nad gorzelniami i dystylacjami, a gorzelników zrobiono klasą uprzywilejowaną; od tej też epoki datuje się namacalny upadek wyskoku czystego i zdrowego, a na rynek spożywczy występują wyskoki podrzędne, źle dystylowane, a zatem trujące i działające szkodliwie na zdrowie narodu.

„Ale nie dość na tem. Jednocześnie z upadkiem i upośledzeniem wartości wyskoku, wzrastać poczęła jego konsumcja, a liczba szynków mnożyć się w sposób zastraszający. W roku 1880 było ich 356.863, a pięć lat później jest ich już 386.115; nie mniej jak 6000 szynków przybywa corocznie. Więc na 94 mieszkańców, a wyłączając kobiety i dzieci, na 30 do 40 mężczyzn przypada jeden szynk, jeden zakład dostarczający źle oczyszczonej trującej gorzałki!

„W przeciągu 10 lat, od 1874 do 1885, spożywczość wódki podniosła się w zdumiewający sposób z 970 000 do 1,500.000 hektolitrów, a gdy

---

50)

Aż do zgonu.

Powieść

przez

SAS-ŁADĘ.

(Ciąg dalszy.)

Jadwiga miała swoję dumę — choć ją serce bolało, choć głęboko była dotkniętą, urażoną nawet, nie chciała tego dać poznać sąsiadce. Nikt nie powinien był widzieć, co się w niej działo. Przystąpiła do pianina, z lekka dotknęła klawiszów, pytając zarazem:

— Znasz ostatnią kompozycję Noskowskiego? Prześliczna.

Tym sposobem oznajmiała Nicowskiej, że dalej nie życzy sobie powyższej prowadzić rozmowy. Zaczęła grać — klawisze śpiewały pod jej ręką, a pobladła twarz schylała się nad pianinem, ażeby sąsiadka nie dostrzegła wzruszenia. Ale Nicowska nie wypowiedziała jeszcze wszystkiego — za mało zaniepokoiła Leonowę — chciała zobaczyć łzy płynące z jej oczu, usłyszeć wyrazy oburzenia i gniewu — nie zważając zatem na niechęć młodej kobiety, stanęła tak, żeby ją naprost siebie widzieć, i znowu rozwodziła się nad tem, jak dalece Leon był winnym lekkomyślności i jak jawnie zdawał się niewierność swą zatwierdzać. Jadwiga całą siłę woli przywołała — zacięła się — i czem więcej tamta ją drażniła, tem ona więcej stawała się kamienną.

— Nie swoja dziś jesteś — szepnęła wreszcie z udaną litością zniecierpliwiona Nicowska. — Nic nie mówisz... udajesz obojętność na wszystko.

— Mylisz się — zawsze jestem taką.

— Nie graj ze mną komedji. Czy zdaje ci się, że nie zrozumiem twojego cierpienia? Mój mąż wprawdzie nie daje mi nigdy powodów zazdrości, niepokojów, tysiuteńki, myślami jest ciągle przy gorzelni i oborniku... ale przecieżem kobietą, mam serce. Wypłacz się... lżej ci będzie.

Leonowa grać przestała. Nie mogła uciec od swojej prześladowczyni, ani się jej pozbyć. Zebrała się na większą jeszcze odwagę i patrząc wprost w oczy Nicowskiej, rzekła:

— Skąd przypuszczenie, że wypłakać się potrzebuję?.. Mój mąż bywa w Zręcinie, nadskakuje, twierdzisz, pani Klęckiej... cóż stąd? Mamże zaraz źle o nim myśleć, gryźć się i rozpaczać?

— Naturalnem ci się to wydaje?!

— Zupełnie.

— I wcale nie jesteś zazdrosną?

— Trzebaby ważniejszych powodów, trzebaby nie wierzyć mężowi, przypisać mu chęć oszukania... Ja ufam Leonowi, pewną jestem jego szlachetności i jego poszanowania dla mnie.

Wypowiedziała to z mocą. W pierś jej rozbolałą własne słowa wlały pewne ukojenie. Utwierdziła się w wierze, na twarzy pojawiły się rumieńce, oczy błysnęły.

— Przekonam cię. Zobaczysz sama! Zaproszę was razem do siebie na obiad. We czwartek przyjedź — będzie Klęcka. Jeśli na własne oczy nie ujrzysz, co ci mówiłam — nazwiesz mnie intrygantką! pozwalam!

Leonowa przyrzekła. O, sama pragnęła przekonać się, dotknąć tej strasznej prawdy. Wolała, żeby nóż od razu zatopił się w jej sercu, niż żeby go ciągle nad sobą widziała.

Cierpieć z przyczyny jakiegoś przypuszczenia, to już lepiej mieć powód prawdziwy do rozpaczy i smutków.

Wszystko co usłyszała, nie byłoby jej może sprawiło tak głębokiego wrażenia i obeszło do tego stopnia, gdyby nie pewna okoliczność, która poprzedziła wizytę Nicowskiej.

Raz, przeglądając swoim zwyczajem i porządkując książki, napotkała między niemi dużą kopertę, której dotąd nie dostrzegła. Myśląc, że wysunęła się z jakiejś przesyłki, roztworzyła ją i z niemałem zdziwieniem ujrzała portret kobiecy. Uszkodzony, podklejony w paru miejscach, tak był jeszcze wyraźny, że od razu poznała panią Karolinę.

Gubiła się w domysłach, coby to znaczyło?

Obracając portret na wszystkie strony i przypatrując mu się coraz baczniej, zobaczyła niedostrzeżonym „maczkiem" wypisane dwa wyrazy: „Leonowi — narzeczona."

Tłum myśli opadł ją wtedy. Czyżby Leon niegdyś w tak bliskim z Klęcką zostawał stosunku? Nie mówił jej nigdy o tem i to już wydało się jej dziwnem. Zwolna, wiele szczegółów, które dotąd nie budziły jej zastanowienia, zaczęły zjawiać się przed nią i wyraźniejsze przybierać znaczenie — widziała jaśniej. Tajemnica jakaś tkwiła w życiu Leona.

Jednakże broniła się jeszcze przed wzrastającem podejrzeniem. Leon nie bywał w Zręcinie. Klęcka nawet nie złożyła im wizyty — unikała ich widocznie. Choćby narzeczoną jego kiedyś była, dziś zerwały się te węzły — rozdział stanowczy nastąpił. Dla czegoż podsunięto jej ten portret. W jakim zamiarze? Może zresztą napis ów nie odnosił się do Leona? Kto w sąsiedztwie nazywał się podobnie? Szukała długo. Przypuszczała nawet, że koperta mogła z dalszych stron dostać się aż tutaj przez zapomnienie zostawiona w pożyczonej książce. Ale niepokoju pozbyć się nie zdolną była. „Leonowi — narzeczona" dwa te wyrazy ciągle ją prześladowały.

Bywają ludzie tak mało szlachetni, czy tak bezmyślni, że nawet obrachować nie umieją doniosłości tego co czynią. Pan Marcin do nich należał. Nie lubił Leonowej, chciał jej niemiłą zrobić niespodziankę, i włożył portret między książki z czytelni. Co też pocznie? Co powie, gdy go tam znajdzie? Ciekaw wypatrywał zmiany na jej twarzy, spodziewał się, że wszystkich będzie badać.. Nie doczekawszy się niczego, machnął ręką. Nie udała mu się psota. Zapewne sługa musiał zabrać portret, jako ładny obrazek, — słudzy na obrazki są zwykle łakomi— i wkrótce o tem zapomniał.

Leonowa nie miała wyobrażenia, że mogą istnieć podobne charaktery, i że zepsucie spokoju czyjegoś, satysfakcję sprawia niektórym, i teraz także, podczas gdy Nicowska wysilała się na wmówienie w nią, że prawdą tchnęły jej słowa, młoda kobieta nie rozumiała wcale, dla czego sąsiadka tak dotkliwie zmartwić ją pragnie?

Widocznie po to tylko tu przybyła.

Z każdą chwilą rosło cierpienie Leonowej; skrywała je pilnie, ale siły opuszczały ją coraz więcej. Potrzebowała samą pozostać, modliła się w duchu o koniec tych odwiedzin, stawała się coraz bledszą, coraz mniej mówiła, choć Nicowska długo jeszcze rozmaite przytaczała o Leonie szczegóły, opisywała jego spotkanie pierwsze z Klęcką na festynie, cały ów wieczór, który po loterji nastąpił w Zręcinie, co mówił, jak patrzał, i nie wzdrygała się, wiele dodać z własnej fantazji.

Potrzeba było niezwykłego hartu, ażeby każdy cios zadawany i sercu i miłości własnej, i wierze w męża, wytrzymać bez zadrgnięcia, pomimo to Jadwiga mężnie dotrwała. Jeśli wolno jej było cierpieć w samotności, przy obcych należało spokój pozorny zachować.

Nicowska nie doczekała się żadnego objawu zazdrości. Trzeba było innego użyć sposobu... Pokaże się jeszcze, czy ta najzimniejsza kobieta nie zaboli, gdy na własne oczy ujrzy niewierność męża!...

Nareszcie sąsiadka pożegnała Jadwigę. Musiała jeszcze odwiedzić panią Brygidę, przekonać się, czy też i matka grać z nią komedję potrafi!...

Starsza pani siedziała w swoim pokoju nad robotą do kościoła. Była smutną i zamyśloną. Martwiło ją postępowanie syna, trwożyła przyszłość. Wiedziała że dał się Klęckiej pociągnąć, że bywał u niej często, a nad wszystko niepokoiło ją bardziej jeszcze to, co dostrzegała w synie: jego głębokie zaprzątnienie, nie zajmywanie się niczem w domu, zobojętnienie nagłe nawet dla niej samej. Zmiana ta niezmiernie ją gryzła, a trwożliwe przeczucia zdawały się coraz więcej zbliżać do prawdy. Nie mijał dzień, żeby w Leonie nie odbiły się wzruszenia, lęki i radości, których doznawał przy pani Karolinie i raz był nadmiernie wesoły, drugi raz bez powodu przygnębiony i kwaśny. Żona niecierpliwiła go coraz więcej, okazywał jej niechęć swoją za każdą okazją.

Pomimo, że wcale nie czuła się do gości usposobioną, pani Brygida przyjęła sąsiadkę ze zwykłą uprzejmością swoją. Nicowska nagadała jej zaraz mnóstwo czułości, po rękach wycałowała i pospieszyła z prośbą o łaskawe przybycie na objad imieninowy. Nie wypadało pominąć matki, choć szło jej tylko o syna i synowę. Spodziewała się odmownej odpowiedzi, samo nazwisko Klęckiej powinno było odstraszyć panią Brygidę, która o ile mogła, unikała Karoliny i tym razem zaproszenia nie przyjęła. Nicowska udała wielkie zmartwienie.

— Jadwisia mi obiecała — dodała, — westchnąwszy.

Matka nic nie odrzekła.

(C. d. n.)

do tej urzędowej cyfry dodamy defraudowany, nie opodatkowany wyskok, to można powiedzieć bez wahania, że konsumcja się jego podwoiła.

„Jakie ziarno, taki owoc. W tem samem dziesięcioleciu 1874—85 ilość samobójstw w alkoholizmie biorących początek podniosła się z 137 do 868; stosunek obłąkanych alkoholicznych wzrósł z 9 do 16 procent, liczba śmierci alkoholicznych powiększyła się o 20 proc. W ostatnich 5 latach na 51,000 obłąkanych w domach zdrowia było 7400 alkoholicznych. Jednocześnie przy poborach wojskowych zauważano cztery razy większy stosunek rekrutów uwalnianych z powodu ułomności z alkoholizmem w związku będących, oraz stwierdzono, że liczba przestępstw i zbrodni wzrasta.

„A jeśli zważymy, że kieliszek gorzałki sprzedawany bywa we wszystkich szynkach francuskich i belgijskich po cenie 10 centymów i że ludność wypija 19 miljardów kieliszków (wedle urzędowego raportu), okaże się, że wydaje ona 1 miljard 900 miljonów franków na trunek, który przy obecnym stanie fabrykacji szkodliwie oddziaływa na jej zdrowie. Gdy się dalej pomyśli, że ta olbrzymia suma wychodzi przedewszystkiem z kieszeni klasy robotniczej, najuboższej, to przejmuje nas dreszcz zgrozy i chciałoby się posiadać władzę nieograniczoną — dla zduszenia tego potwornego smoka!

„Zastanawiający jest nadewszystko, że wytępiwszy w zupełności rasę starodzikiej w Ameryce i Oceanji, nie przestaje wódka skutecznie działać w wytępieniu rasy afrykańskiej, a i wśród nas, pod naszem okiem rozpościera ona swoją demoniczną działalność, nie wywołując ani dość żywej protestacji, ani dość energicznych środków zaradczych".

Dalej autor, powołując się na opinję powag lekarskich, dowodzi, że pod wpływem alkoholizmu następuje upadek sił moralnych w stopniu większym, niż fizycznych, zanika poczucie sprawiedliwości, honoru, rozwijają się krwiożercze instynkta i popęd burzycielski — a kończy aforyzmem:

„Wódka jest najgorliwszym podszczuwaczem do rewolucji".

Mały Fejleton.

Jubileusz Wiktorji Colonny.

Włochy obchodzą w tym roku jubileusze najsławniejszych i najdoskonalszych swych kobiet. W maju święciły pamiątkę Beatrixy Portinari, niebiańskiej kochanki Danta, podniesionej przez największego poetę ludzkości na wyżynę, na jakiej żadna dotąd istota ludzka za sprawą człowieka nie stanęła. Jeszcze nie przebrzmiały echa tego wielkiego święta ideału, a już kraj zabrał się do obchodu czwartej wiekowej rocznicy urodzin Wiktorji Colonny, ukochanej przez Michała Anioła. Beatrixa żyje tylko wiekuiście w pieśni boskiego wieszcza, tak, iż po za jej obrębem uchodziła w wiekach za urojoną istotę, za symbol, za bezdenne uosobienie idei. Wiktorja Colonna, późniejsza o dwa wieki, była owszem jedną z najsławniejszych niewiast swego czasu, i sama piękna i natchniona jak sybilla, udzielała natchnień największym współczesnym mężom.

Na początku XIII wieku trzy potężne rody: Colonnów, Savellich i Orsinich, opanowały łańcuchy wulkanicznych gór dawnego Latium, nad którymi wznosiła się niegdyś na „Monte Cave" świątynia Jowisza, fara łacińskiego związku. Zamki, porozrzucane na tych wyżynach, służyły tym panom do trzymania na wodzy Rzymian rozzuchwalonych, odkąd cesarz Henryk VI cofnął był w 1191 [illegible] z Tusculum, a miasto pozbawione opieki niemieckiej załogi, zrównane zostało z ziemią przez rzymskich swych rodaków. W liczbie tych zamków ważne stanowisko zajmowało Marino, będące kluczem gościńca, wiodącego do Terraziny i do Neapolu. Dyktator Cola di Rienzo po długiem obleżeniu wydarł je Orsinim. Nareszcie kiedy na bazylejskim soborze obrany został papieżem Otton Colonna i przyjął imię Marcina V, zamek ten przeszedł stanowczo na własność papieskiej rodziny, to jest Colonnów i nadawał książęcy tytuł pierworodnym ich synom.

W tym to zamku, malowniczo położonym z jednej strony nad żyzną i zieleniącą się doliną, „valle Ferientina", z drugiej zaś nad wielkim, jałowym, ale niezrównanym pod względem koloru stepem rzymskim, przyszła na świat w 1490 roku Wiktorja, córka Fabrycego Colonny, pana na Paliano, a księcia na Tagliacozzo, konstabla czyli hetmana neapolitańskiego, i Agnieszki Montefeltro, córki księcia Urbino.

Jej zachwycająca uroda zaćmiona była niejako blaskiem jej umysłowej wyższości, jej pierwszorzędnego talentu poetki. Wydana za margrabiego Pescara, tak głośnego w wojnach Karola V, była wzorem małżonek, znakomitego rycerza nazywała „swojem słońcem" i wierną pozostała tej pamięci zmarłego aż do śmierci, chociaż sama mnóstwo ówczesnych luminarzy pociągała za sobą i była osią obrotu szesnastowiecznego świata poetów, artystów i rycerzy.

Niezachwiana w swojej prawowierności, ważną ona odegrała rolę w sprawach tego czasu, osobliwie położyła dla Kościoła zasługi, a współcześnik jej Piotr Bembe i Hanibal Caro piszą o niej, że „zwyciężyła świat i siebie samą".

Słynny i surowy ksiądz Muraturi, jeden z najpracowitszych dziejopisarzy włoskich, powiada; „W XVI wieku znakomita niewiasta nietylko muzom się oddała, ale zdawało się, iż niebo wszelką wiedzę w nią przelało i osobliwe swoje skarby złożyło w niej, jako w najgodniejszym i najbezpieczniejszym skarbcu. Tą zdumiewającą niewiastą jest Wiktorja Colonna, której ani Latium, ani Włochy, ani nawet świat cały nie widziały równej".

A przecież Muratori nie zwykł się bawić w przesadę i w górnolotne panegiryki i napróżnobyś szukał w olbrzymich jego „Rocznikach" innej takiej pochwały.

I ny głośny dziejopisarz florencki Guicciardini, dodaje: „Wiktorja Colonna, boska margrabina Pescary, chwałę toskańską przeniosła do Latium".

Ale cóż dopiero rzec o poetach XVI wieku? Ci wielkim chórem powtarzają jej imię i wysławiają Wiktorję, jako nadzwyczajną ze wszechmiar istotę. Flaminjusz, łaciński poeta odrodzenia, nazywa ją dziesiątą muzą:

Quam Phoebus decimam addidit camoenis.

Ariost w śpiewie XXXVII „Orlanda Szalonego" tak się wyraża o Wiktorji:

Se l'altre taccio e se lei sola lodo,
Quest'una ha non pur sé fatta immortale
Col dolce stil di che miglior non odo;

Ma puó qualunque, di cui parli o scriva
Trar dat sepolcro e far che eterno viva.

Co dosłownie znaczy: „Jeśli o innych milczę, a ją samą wychwalam, to ta jedna nietylko że siebie uczyniła nieśmiertelną miłym stylem, od którego lepszego nie słyszałem, ale może nadto każdego, o którymby mówiła lub pisała, wzbudzić z grobu i sprawić, „iż będzie żył wiecznie".

Ale najbardziej ją uwielbiał, a zarazem szalenie kochał Michał Anioł Buonarotti, który ją ogłosił „boską" i twierdził, że jej to zawdzięczał najwznioślejsze i niebiańskie swoje natchnienia, i że bez niej nie potrafiłby był wcielić i zamienić w czyn ani jednego z nich: bez szczęścia tedy, jak powiada, rozmawiania z nią nie byłoby może ani „Sybil i Proroków", ani „Sądu ostatecznego", ani „Mojżesza", ani kopuły św. Piotra. Wiktorja Colonna nietylko, że rozniecila uczucie w Michale Aniele aż do najwznioślejszych, zachwytnych wysokości, do jakich wewnętrzny płomień może sięgać, ale rozświeciła jeszcze jego myśl, wskazywała mu, co i jak miał robić. Nieśmiertelny mistrz radził się jej i słuchał, jak wyroczni, a nawet, gdy młodą będąc, owdowiała, nie śmiał żądać od niej żadnego ziemskiego dowodu współczucia.

Wszystkie kobiety mu zobojętniały w obec Wiktorji, zakonnicze prowadził życie, i wiadomo, iż żył i umarł w panieństwie, nigdy żadnej nie poznawszy kobiety. Ta surowość obyczajów tłumaczy niesłychaną siłę i potęgę genjuszu, który zrazu chciał wznieść w powietrze Panteon i postawić go na bazylice św. Piotra, i później dopiero poprzestał na naśladowaniu świątyni wszystkich bogów w niebotycznej kopule, którą uwieńczył grób galilejskiego Rybitwa. Dopiero, kiedy „boska" margrabina Pescary umarła za młodu, Michał-Anioł leżącą na katafalku pocałował raz pierwszy i ostatni, i sam jako znakomity poeta pamiątkę tego pożegnonego oświadczenia miłości w smutnym nam wierszu przekazał.

Poezje Wiktorji Colonny należą do najcelniejszych utworów literatury włoskiej. Quadrio powiada o niej, „iż margrabina Pescary nietylko, że dorównała najsłynniejszym poetom, ale w wyrażaniu uczuć odebrała palmę wszystkim współcześnikom swoim". Włochy, gdzie tak wiele było i jest improwizatorek i poetek, a tak nadzwyczaj mało pierwszorzędnych niewieścich talentów — zapewne dlatego, że Włoszka jest sama poezją, którą inni piszą, Włochy, powiadam, nie mają dotąd ani jednej wieszczki, któraby stanęła wyżej od prawnuczki Papieża Marcina V, ani nawet na równi z nią.

Świeżo zmarły historyk, Prusak Reumont, niezbyt pochopny do zachwytów i prawdziwy Niemiec, choć francuskie nazwisko nosił, pisząc o zamku Colonnów w Marino powiada: „W tym to zamku w 1490 r, przyszła na świat najszlachetniejsza i najpiękniejsza postać kobieca, nietylko w Lacjum i we Włoszech, ale w świecie całym; była to prześwietna margrabina na Pescarze, Wiktorja Colonna, wzór wszelakiej cnoty i nauki, przez Michała Anioła nazwana boską, który to tytuł został jej powszechnie zatwierdzony przez zwolenników Petrarki".

Otóż pamiątkę tej idealnej kobiety głośnie obchodzono w Marino pod Rzymem, gdzie naród i rodzina książąt Colonnów przygotowała wspaniałe uroczystości na jej cześć.

Kronika.

Lwów, 23 sierpnia.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Tuławy, w powiecie śniatyńskim na budowę szkoły zapomogę w kwocie 100 złr.

Arcyks. Rajner, powracając z Czerniowiec przejeżdżał wczoraj przez Lwów i nie zatrzymując się wcale pojechał do Krakowa.

Na dworcu witał dostojnego gościa JE. p. Namiestnik, a później przybył również na dworzec Arcyks Salwator wraz z swoim adjutantem. O godzinie $8^1/_2$ wieczorem opuścił Arcyks. Rajner dworzec osobnym pociągiem krakowskim.

Cesarz ojcem chrzestnym. W dzień 60-letniej rocznicy urodzin Najj. Pana 18 sierpnia r. b. wieś niaczka z okolicy Ustrzyk powiła syna. Uradowany ojciec przesłał telegraficznie prośbę do Cesarza, żeby raczył nowonarodzonego chłopczynę trzymać do chrztu. Odpowiedź życzliwa nadeszła wnet telegraficznie.

Najj. Pan na wiązanie dla malca przysłał 100 złr., a zarazem polecił staroście, by go przy chrzcinach zastąpił.

Mianowania. Rada szkolna krajowa zamianowała Jadwigę Czarnecką, stałą nauczycielką 6 klasowej szkoły etatowej żeńskiej w Brzeżanach.

Prezydent miasta p. Edmund Mochnacki, powrócił wczoraj z urlopu i obejmie urzędowania pojutrze.

Ślub. p. Leopolda Baczewskiego z panną Stefanią Kopecką odbędzie się dziś o godzinie 8 wieczorem w kościele OO. Bernardynów.

Dziś również pobłogosławiony będzie w kościele OO. Karmelitów, związek małżeński między p. Bojakiem i panną Walichewiczówną, córką p. Michała Walichewicza, radzcy miejskiego.

Wybór uzupełniający. Namiestnictwo rozpisało ponownie wybór na jednego członka do stanisławowskiej Rady powiatowej z miasta Stanisławowa na dzień 11 września b. r.

Wpisy uczniów do IV gimnazjum we Lwowie odbywać się będą w nowym budynku obok politechniki w dniach 29, 30, i 31 sierpnia od godziny 9 do 12 przed południem i od 3-ciej do 6-tej po południu.

Nowy urząd pocztowy. Z dniem 1 września b. r. wejdzie w użycie nowy urząd pocztowy w miejscowości Czarna koło Ustrzyk w powiecie liskim. Do okręgu doręczeń nowego urzędu pocztowego należeć będą miejscowości Czarna z Harwatem i Żołobek, jakoteż zarządy kopalni nafty w Polanie.

Z dniem 1 września b. r. też dla rozróżnienia uzupełnia się zarazem nazwę istniejącego już w powiecie pilzneńskim urzędu pocztowego w Czarnej dodatkiem „Czarna koło Pilzna".

Wielki obraz olejny pędzla Jana Rosena artysty-malarza w Monachjum — pod tytułem „Rewizja wojska polskiego na Saskim placu w Warszawie" wystawiony będzie w pierwszych dniach września na osobnej wystawie we Lwowie.

Kolonia wakacyjna dziewcząt wyjeżdża z Synowódzka 25 go w poniedziałek o godzinie 9-tej wieczorem, a do Lwowa przyjeżdża o godzinie 12-tej w nocy.

Ciągłe skargi dochodzą nas na tutejszy główny urząd depozytowy.

Z powodu braku urzędników, jaki w powyższym urzędzie czuć się daje, strony nieraz nader długo czekać muszą na merytoryczne załatwienie ich spraw, gdyż zatrudnieni tam urzędnicy nie mogą widocznie sprostać nawałowi pracy. Byłoby przeto pożądanem, aby kompetentne władze dla dogodności stron powiększyły odpowiednio personal tego urzędu.

Mandat poselski do Sejmu z kwestji włościańskiej powiatu żywieckiego złożył p. Antoni Michałowski.

Obrony prof. M. Kozłowskiego, aresztowanego w Uhnowie, a trzymanego w więzieniu śledczem we Lwowie, podjął się adwokat Dr. Szczepan Fedak.

Rewizję policyjną przeprowadzono u włościanina Wasyla Bojka w Korzelowie pod Kulikowem. Równocześnie odbyto rewizję i u szwagra Bojki, Iwana Chomiaka.

Przy budowie gmachu na pomieszczenie szkoły ludowej imienia Mickiewicza przy placu Castrum, natrafiono kopiąc fundamenta na podziemne sklepienia starożytnego kościółka i klasztoru OO. Reformatów, w którym po skasowaniu tego zakonu w czasach józefińskich mieścił się polski teatr aż do czasu wybudowania gmachu Skarbkowskiego. Zwracamy na to uwagę pp. konserwatorów starożytności, jest bowiem nader prawdopodobnem, że pod wykopanem sklepieniem znaleść się mogą w podziemiach sarkofagi, zasługujące na ocalenie.

O burzach i cyklonach, szalejących to w Europie to w Ameryce, odbieramy codziennie doniesienia i chociaż stoimy już na progu jesieni, atmosfera, przesycona elektrycznością wśród długo trwających upałów co chwila wybucha strasznemi burzami i sypie gradem, niszczącym płody rolnicze. Wczoraj doniósł nam telegram o burzy, która nawiedziła Styrję i na stacji kolejowej w Waitzu była przyczyną starcia się osobowego pociągu z porwanemi przez burzę kilkoma wagonami towarowemi. Burza ta szalała również dnia onegdajszego w Gracu i wyrządziła znaczne szkody w mieście i na placu tamecznej wystawy krajowej, gdzie obaliła kilka budynków i zniszczyła wiele wystawionych przedmiotów. Grad wytłukł szyby we wszystkich oknach, pogruchotał latarnie gazowe, stłukł dach szklanny na gmachu pocztowym, poprzewracał słupy telegraficzne i telefoniczne i mnóstwo drzew poobałał w ogrodach. Szalona ta burza srożyła się w Gracu od godziny 4 do 8 wieczorem.

Z kolei Karola Ludwika donoszą nam, że dnia 22 b. m. pociąg (mięszany) Nr. 9 wychodzący z Podzamcza wieczorem o godzinie 11. min 5, z powodu wykolejenia się jednego frachtowego wozu na stacji, opóźnił swój wyjazd z tejże stacji o minut 37.

Zarząd główny Kółek rolniczych uwiadamia członków mających zamiar przybycia na walny zjazd, który odbędzie się w Stanisławowie, że kolej państwowa pomimo usilnych starań głównego Zarządu z powodu zaprowadzenia taryfy strefowej, obniżającej ceny jazdy w III klasie o połowę, nie uwzględniła prośby o znaczniejsze obniżenie ceny jazdy dla członków Kółek rolniczych udających się na walny zjazd do Stanisławowa. Natomiast kolej Karola Ludwika udzieliła 33 procentowe obniżenie biletów II i III klasy w pociągach zwyczajnych. Za okazaniem karty legitymacyjnej i zastrzegła sobie, że obniżenie to trwa w swojej mocy od dnia 5 — 11 września dla podróży do Lwowa i od 11 — 16 t. m. dla jazdy z powrotem.

Zarząd główny urządza podczas walnego zjazdu w Stanisławowie przeglądową wystawę okolicznego bydła połączoną z premiowaniem, jakoteż wystawę przemysłu miejscowego. Pouczające wykłady dla członków Kółek rolniczych mieć będą podczas zjazdu pp. Jan Biedroń, sekretarz Towarzystwa rolniczego w Cieszynie, Władysław Szybiński, lustrator Kółek, i Seweryn Wiśniewski, krajowy nauczyciel wędrowny rolnictwa.

Na manewra, które tego roku odbędą się w obecności Najj. Pana na Morawie i Szlązku, wyruszy załoga krakowska już w najbliższy wtorek. Wyjdą z Krakowa wszystkie oddziały każdej broni, wymaszerują także powołani na ćwiczenia rezerwiści, a pozostanie jedynie potrzebna do pełnienia służby w mieście artylerja wałowa. Marsz pieszy wojska odbywać się będzie gościńcem przez Wadowice, Kenty, Andrychów, Białę, Skoczów, Cieszyn itd. Zaraz po przybyciu na miejsce rozpocznie się potyczka wojenna. Z manewrów wojska powrócą, jak zwykle, kolejami żelaznemi.

Pożar. Przedwczoraj około godziny 5ej popołudniu wybuchł nagle na Pasiekach miejskich ogień z pod strzechy chaty, stojącej o kilkanaście kroków od nowego budynku szkolnego. W jednej chwili ogień objął całą strzechę i zaalarmował pracujących w polu mieszkańców. Na ratunek palącego się domu pospieszył pierwszym tamtejszy kierownik szkoły p. Rudnicki ze sługą szkolnym. Wkrótce potem zbiegło się wielu sąsiadów, którzy dzięki energicznym rozporządzeniom p. R. zlokalizowali pożar, ratując odległą tylko o 2 kroki stertę zebranego zboża, stóg siana i budynki gospodarskie. Spaliła się tylko chata, a straty nie przenoszą 200 zł. Po upływie pół godziny od wybuchu pożaru przyjechała straż ogniowa miejska, której przypadło w udziale dokończyć ratunku. Przyczyna pożaru dotychczas nie znana.

O nieszczęśliwym wypadku, jaki wydarzył się w środę podczas ćwiczeń wojskowych na Błoniach pod Krakowem, przynoszą dziś dzienniki krakowskie szczegółowe wyjaśnienia. Owóż Jan Mendera z Ćwikowa, którego w gniewie uderzył oficer Pollatschek, nie umarł, lecz leży chory w szpitalu garnizonowym na Zamku i w książkę chorych wpisano go, jako słabego w skutek porażenia słonecznego. Lekarz pułkowy, na którego oddziale umieszczono Menderę, jak również docent uniw. Jagiell. dr. Trzebicki zapewniają, iż życiu Mendery żadne nie grozi niebezpieczeństwo i za parę dni wyjdzie uleczony ze szpitalu; na ciele jego nie ma najmniejszej rany, zadanej narzędziem tępem lub ostrem, a choruje jedynie tylko z porażenia słonecznego. Mendera — jak on sam powiada — wyszedł zdrów z koszar na ćwiczenia i dopiero pod wpływem gorących promieni słońca, nieznośnego upału i skwaru zasłabł, a słabość ta coraz dotkliwiej dawała mu się uczuć. W skutek tego nie mógł wykonywać ruchów z taką dokładnością, jak wymagają oficerowie, i to było przyczyną katastrofy. Oficer Pollatschek znany wśród kolegów z nadzwyczaj surowego obchodzenia się z żołnierzami był temperamentu porywczego, i dla tego koledzy jego już dawniej zobowiązali go słowem honoru, że nadal zmieni swe postępowanie. W środę jednak zirytowany, zapomniał o przyrzeczeniu i uderzył Menderę, a widząc, iż ten po uderzeniu upadł bez życia, był przekonany, że popełnił zabójstwo. Z placu ćwiczeń podążył przeto do swojego mieszkania, wziął rewolwer, wyszedł na Błonia, gdzie pod Kopcem najpierw wykąpał się, następnie włożył na siebie mundur i nie przypiąwszy tylko pałasza, strzelił sobie w serce i natychmiast wyzionął ducha. Pogrzeb jego odbył się wczoraj o godzinie 5ej po południu.

Zarząd Tow. myśliwskiego Im. św. Huberta we Lwowie przypomina pp. członkom, że od dnia 1 września b. r. włącznie, winni uiścić przypadające na nich z mocy wniesionych na Walnem Zgromadzeniu deklaracyj, opłaty za udziały w pojedynczych sekcjach polowań Towarzystwa, lub też usprawiedliwić zwłokę w piśmie do Wydziału Tow., w przeciwnym bowiem razie, stósownie do postanowień statutu, niezgłaszający się uznani będą za występujących z Towarzystwa.

Zarazem uwiadamia Zarząd Towarzystwa pp. członków, że egzemplarze uzupełnionych regulaminów Towarzystwa odebrać sobie mogą u skarbnika Towarzystwa p. Bienieckiego (w cukierni przy ul. Karola Ludwika l. 11).

O zmianie herbu rodziny Młodeckich przez Leona XIII pisząc wczoraj, powiedzieliśmy, że Młodeccy są pierwszą rodziną polską, której Najwyższy Pasterz udziela własnego herbu.

Tymczasem dziś mieliśmy sposobność przejrzeć akta „Archivum Treterianum" we Lwowie i spotkaliśmy się z papierami rodziny Treterów, z których pokazuje się, że rodzina ta z górą o dwa wieki wcześniej doznała tego samego zaszczytu od Stolicy Apostolskiej.

I tak na akcie, na mocy którego rodzina Lubomirskich przyjmuje Treterów do swego herbu (Szreniawy) czytamy:

„... Unde tantorum meritorum suadente conscienta, eo insuper attento, quod olim jam Gregorius XIII, felicis recordationis Pont. Romanus, patruum praefati nobilis Mathiae Treteri, Thomam itidem Treterum, Canonicum Varmiensem, sola eximiae virtutis tactus aestimatione cum tota stirpis suae serie ad gentilitiae domus suae arma cooptaverit et admiserit..." (Stąd, ponieważ tak nam nakazuje uznanie wielkich zasług, a przytem ponieważ zważamy i na to, że już śp. Grzegórz XIII, Papież Rzymski, stryja wspomnianego wyżej szlachetnie urodzonego Macieja Tretera, Tomasza także Tretera, kanonika warmińskiego, poruszon jedynie uznaniem jego znamienitej cnoty z całym rodem jego przyjął do rodzinnego herbu domu swego.. przyjmujem i my go...)

Dokument opatrzony pięcioma olbrzymiemi pieczęciami Lubomirskich, zamkniętemi w puszki metalowe, nosi datę 12 kwietnia 1670.

Dokument ten podpisał własnoręcznie Stanisław podstoli koronny, Hieronim Augustyn rycerz maltański Aleksander starosta sandecki i perejasławski — Lubomirscy, hrabiowie na Wiśniczu i Jarosławiu, książęta państwa rzymskiego, a nadto Barbara ze Szczekarzewic Lubomirska, żona Jerzego marszałka wielkiego koronnego.

Z tych heraldycznych danych wynika, że Młodeccy nie są pierwszą rodziną polską, która otrzymała od Papieża prawo pieczętowania się własnym jego herbem. To też rodzina Treterów już od czasów Grzegorza XIII pieczętuje się herbem podwójnym: pierwszym z nich „Draco", nadany przez Grzegorza XIII, a drugim „Szreniawa" herb Lubomirskich, do którego oni przyjęli Treterów.

Węgierski poseł Abranyi, którego interview z księciem Bismarkiem dotąd otacza mgła tajemniczości, stanowcze zaprzeczenie ze strony księcia ekskanclerza tłumaczy tem, iż tenże uczuł się obrażonym niedyskrecją Abranyiego; więc najłatwiejszej prawdzie kazał wręcz zaprzeczyć, jakoby kiedykolwiek tego pana u siebie przyjmował i z nim rozmawiał.

„Ogłaszając moję rozmowę z ks. Bismarkiem, obawiałem się rozmaitych nieprzyjemności" pisze p. Abranyi do redakcji *Budapesti Hirlap*; ale przenigdy nie przypuszczałem, żeby posunięto się aż do zaprzeczenia samego faktu rozmowy."

Wobec tego udał się teraz p. Abranyi do Kissingen, ażeby osobiście wyjaśnić tę niemiłą sprawę, która — zdaniem jego — wzięła ten obrót tylko w skutek niewytłumaczonych na razie intryg.

Zmarli W Warszawie zmarł Franciszek Ostoja Turkuł w 26 r. życia — Seweryn hr. Uruski zmarł w Pizie we Włoszech w 76 r. życia. — W Sekowej zmarła Stanisława Katyllowa, żona inżyniera krajowego. — Śp. Katarzyna Błażejowska matka tutejszego adwokata wdowa po żołnierzu wojsk polskich z r. 1831 zmarła 23 bm. Eksportacja zwłok na cmentarz Łyczakowski odbędzie się 25 b. m. o godz. 5-tej po południu.

Białystok 18 sierpnia. Od trzech tygodni blisko toczy się zażarta walka w prasie rosyjskiej, między *Nowostiami* z jednej, *Graždaninem* zaś i *N. Wremieniem* z drugiej strony, o szczegóły smutnego wydarzenia, jakie spotkało rodzinę doktora Granowskiego, zamieszkałego w naszem mieście. Wia-

---

2)

Ma Froim pociechę.

(Ciąg dalszy.)

— Kiepsko na świecie, kiedy wy, Tomaszu, odemnie uciekacie! — rzekł Froim, wyjmując butelkę z kieszeni chałata.

— Pewnie, że kiepsko, kiedy ty za mną gonisz, żebym ci zapłacił za to, co na wesele brałem.

— Na moje sumienie, ja o tem nie myślał. My tu z Jantkiem przyszli wypić do was na wasze szczęście.

Mendel dał kieliszek, butelkę wprędce wypróżniono.

— Już ty tera Tomek o niczem nie pamiętasz, jakeś się zbabił! — zażartował Szwałek.

— Nieprawda, bom o Mendlu nie przepomniał.

— Co o nim gadać! — zawołał Froim, klepiąc Mendla po ramieniu. — Un jest taki, że na wszystko przystanie. Ja wiem cały wasz interes... to bagatelny interes! To można w dwa słowa skończyć...

— Skończ, kiedyś mądry — pochwycił Warda.

— Chcecie? Ojoj, ja wam zaraz powiem, tylko przyjdźcie do mnie, bo teraz nie mam czasu: u mnie w alkierzu jest cała kompanja, same wasze znajome.

— Jest ich tam ze sześciu, abo i lepiej—wtrącił Szwałek.

— Chodź, Jantek — tu Froim schował pustą butelkę do kieszeni — my pójdziem, a Tomasz niech wracają do swoje kobiete, boby una mogła jemu zrobić giewałt...

— Wiadomo, że baba tak chłopa pilnuje, jak pies sadła: nikomuby nie dała, ino sama jadła — zaśmiał się Szwałek.

Zbierali się do wyjścia.

— Czekajtano!—zawołał Warda i wstał od stołu.—Pójdę z wami, bo, kiedyśta pili do mnie, to trza wam i tamtym zafondować.

— E, idź do dom Tomek, bo ci kobieta da mydło! — i Szwałek pogroził pięścią przyjacielowi.

— No, no! kupowałem ja mydło inszym, alem sam brać nienauczony — odciął się Tomasz.

Kiedy wychodzili z izby, zawołał jeszcze: — Ja tu będę u ciebie, Mendel, na tygodniu, kwity pozbieraj!

Peterała napróżno wyglądał Wardy i odjechał do domu. Tomasz wrócił do chaty późno wieczorem.

— O la Boga! gdzieżeś ty tak długo siedział? —przywitała go Kaśka.—Ja tu czekam i czekam, już mi się spać zachciało..

— Miałem swoje potrzeby w mieście...

— Zara ci dam jeść, kolację przy ogniu trzymam.

— Nie chce mi się jeść, gaś ogień, trza iść spać.

— A gdzieżeś ty jadł?

— Kupiliśmy z Jantkiem kiełbasy i piwa wypili.

Głos męża wydał się Kaśce podejrzanym i oczy Tomkowe były jakoś zanadto błyszczące, nie śmiała jednak pytać o nic więcej.

Chałupa Wardy składała się z dwóch izb z komorami, przedzielonych sienią. Jednę izbę zajmował Tomasz z żoną; druga, przeznaczona na kuchnię, służyła za mieszkanie dla parobka i komornicy — starej Pawłowej, która była gospodynią Wardy za kawalerskich jego czasów. Tomek nie bawił się sam żadną gospodarską robotą. We żniwa raczył kiedy niekiedy wziąć sierp lub kosę do ręki, w razie nagłej potrzeby — obrok koniom zasypał, zazwyczaj zaś dawał tylko dyspozycje parobkowi i Pawłowej, a do pilniejszych robót najmował czeladź ze wsi. Po ślubie zmienił swój tryb życia o tyle, że dawniej w izbie nie siadywał wcale: — szedł rano do miasteczka albo do któregokolwiek z młodszych przyjaciół i powracał późnym wieczorem, teraz zaś siedział cały dzień w izbie i nic robił nic. Kaśka przeciwnie kręciła się wciąż, jak w ukropie. Pawłowa mogła drzemać pod piecem ile jej się podobało, bo młoda gospodyni sama zajmowała się wszystkiem i nie pozwalała starej nawet szaflika z pomyjami tknąć — jako ważnej rzeczy, z wychowaniem wieprzka związanej. Kaśka nawykła u rodziców do pracy. Pędrakowie mieli siedem morgów gruntu, a dzieci sześcioro; nędzy tam u nich nie było, ale z biedą znali się dobrze. Trzeba było codziennie wysyłać starsze dzieci na zarobek do zamożniejszych sąsiadów lub do dworu, a pomimo zarobku mięso jadano tylko w święta uroczyste, a mąka pszenna uważana była jako zbytek, z którym żartować nie można.

Kiedy Kaśka — już jako Tomaszowa — znalazła się panią mężowskiego gospodarstwa, dostała zrazu zawrotu głowy. Nie mogła uwierzyć swemu szczęściu, bo czyż jej się kiedy śniło, że zobaczy w oborze cztery sztuki bydła, a w chlewie — naraz — świnie, dwóch wieprzków i prosiąt dwoje? Czyż mogła kiedykolwiek przypuszczać, że sypiać będzie pod pierzyną?

Nie dziwiło ją teraz, że Tomek nigdy niczem się nie zajmował i z założonemi rękami patrzy, jak ona po domu się uwija. Wyobraziła sobie, że jej chłop jest nad wyraz bogaty, a bogactwo — myślała — „nie od czego, ino od tego, żeby samemu nic nie robić".

Kaśce na nowem gospodarstwie było tak dobrze, że lepiej być nie mogło. Tomkowi także nie było źle, ale zaraz w drugim tygodniu po ślubie zaczęło czegoś brakować. Czego? — nie wiedział sam. Czuł się niby przywiązany do chałupy, w której siedzieć nie nawykł, zdawało mu się, że po to wziął babę, żeby z nią być razem, tymczasem baba kręci się koło gospodarstwa od rana do zmroku i prawie gadać nie ma czasu, a on — nieszczęsny Tomek — nie wie, co z sobą zrobić. Nie przychodziło mu do myśli zabrać się do jakiejkolwiek pracy: od czegóż parobek, Pawłowa, a wreszcie i Kaśka? Z tem wszystkiem rozumiał, że mu się co dnia gorzej przykrzy w domu. Wyglądał wieczora, jak zbawienia, przyspieszał kolację i gaszenie ognia, i szedł spać znużony jakby po największem zmęczeniu.

Niedzielne posiedzenie u Froima otworzyło mu oczy. Nie mógłbym wyżyć przez kompanji — myślał — baba, jak baba, kiedy się uda dobra to jest wygoda w chałupie, ale nie spotrafi tak zrobić, żeby człowiek wciąż na nią patrzał i żeby mu się nie sprzykrzyło to patrzanie. W kompanji całkiem inaczej: rozpowiadają różne różności, trochę się wypije, trochę przekąsi — i czas leci. .

Medytował przez cały poniedziałek nad różnicą, jaka pomiędzy żoną a wesołą kompanją zachodzi; we wtorek od rana coś go już okrutnie do miasteczka ciągnęło. Wytłumaczył sobie z łatwością, że musi jechać, bo ma nawet z Mendlem interesa, w których mu Froim dopomódz obiecał. Szczęśliwym trafem Kaśka przybiegła mu oznajmić, że mąki kluskowej nie na długo wystarczy. Po południu tedy kazał włożyć worek pszenicy do wasąga i pojechał mleć do miasteczka.

— A wnet przyjedziesz? — spytała Kaśka, kiedy ruszył za wrota.

— Jak zmielę, to przyjadę wnet, a jak nie, to się młynarza czepiaj.

Wrócił późno w nocy — pijany. Kaśka usłyszała turkot wozu po grudzie, wpuściła męża do izby i poszła rozbudzić parobka, aby odprzągł konie i mąkę wniósł do sieni, ale worka w wasągu nie było.

— Gdzie mąka, Tomek? — spytała, przyszedłszy z podwórza.

— U żyda.

— Co ty gadasz, u jakiego żyda?

— Ano. . u takiego... co brodę ma!

— Cóżeś ty ją przepił, czy co?

— Jak mi się spodobało... słyszysz!

— To trza było choć worek odebrać.

— Worek... jaki worek?

— Ten, com z pszenicą dała.

— Tyś mnie dała?... E... e.. nie łżyj, Kaśka!... — i pogroził jej batem.

Kobieta załamała ręce. Oparta o komin, patrzyła niespokojnym wzrokiem na męża, który siedział rozparty na ławie, koło stołu, w czapce odsuniętej na tył głowy, z batem w ręku. Widywała nieraz ludzi pijanych we wsi, w miasteczku i na drodze, teraz jednak dopiero, po raz pierwszy w życiu, przestraszyła się pijanego, z którym wypadło jej być sam na sam.

— Czego łżesz, żeś mi worek dała? — zawołał Warda.

Kaśka nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Cóż ty się na mnie patrzysz, jak kołowaty baran na wodę?

Stała zalękniona, nie śmiejąc oczu odwrócić.

— Może twoje... parszywe wiano... było w tym worku!

Milczała.

— Gadaj, do choroby! — krzyknął i uderzył w stół biczyskiem.

(C. d. n.)

domość ta musiała zawadzić zapewne i o Waszę gazetę, gdy jednak wszystkie doniesienia o wypadku tym zamieszczone w gazetach rosyjskich, z których tylko wiadomość o tem zaczerpnąć mogliście, były stosownie do filosemickiego lub antysemickiego kierunku każdego z tych organów tendencyjnie fałszowane pospieszam donieść Wam całkiem bezstronną i prawdziwą historję tego wypadku.

Doktor Granowski, który już długo w mieście naszem przebywa, wprowadził się w październiku zeszłego roku do zajmowanego teraz domu z obszernym ogrodem. Owóż do tego ogrodu, do którego z jednej strony przytyka przestronny plac, zakradały się żydziaki i jak szarańcza robiły ogromne spustoszenia w ogrodzie, zrywając wszystkie, niedojrzałe nawet owoce i niszcząc do szczętu kwiaty i jarzyny. Gdy wszelkie środki okazały się daremne, dr. Granowski rozkazał służbie czatować na nieproszonych gości, ale zwykle czaty te również były bezskuteczne, a gdy się zdarzyło, że temu lub owemu żydziakowi przetrzepano nieco skórę, można było być pewnym, iż wnet nastąpi bombardowanie ogrodu kamieniami z poza sztachet.

Dr. Granowski ma ośmioro dzieci w wieku od lat 2 do 15. Dzieci spędzają oczywiście całe dnie w ciągu lata na świeżem powietrzu, w ogrodzie. Można tedy wyobrazić sobie, co się w ojcowskiem sercu działo, kiedy raz po jednej takiej doraźnej admonicji danej zakradającemu się do ogrodu żydziakowi, rozpoczęło się znów bombardowanie kamieniami ogrodu przez żydów, podczas którego jedynastoletniego syna doktora ostry kamień tak silnie i niebezpiecznie uderzył w oko, iż kuracja trwała przeszło dwa tygodnie, i chłopcu zagraża utrata oka.

Nie koniec na tem. Pozazeszłego tygodnia żydzi znów zarzucili kamieniami ogród, a jeden kamień tak silnie uderzył w głowę bawiącą się w ogrodzie pięcioletnią córeczkę doktora, iż po tygodniowej chorobie umarła.

Wobec tego można zrozumieć niesłychane rozdrażnienie doktora. Jakoż, kiedy nazajutrz po śmierci córeczki o godzinie 4-tej rano, przyłapał znów *in flagranti* żydziaka złodzieja, który mu z drzewa wiśnie obrywał, nie wiele myśląc wziął go do pokoju i lapisem wypisał mu na czole i policzkach wyraz „złodziej“ w trzech językach.

Kiedy się żydzi dowiedzieli o tem, zbiegli się wieczorem przed domem Granowskiego i wszczęli ogromny hałas. Naprzód zebrała się garstka chłopaków żydowskich, a do nich przyłączyła się niebawem gromada żydów dorosłych i podburzając się wzajemnie, poczęli wrzeszczeć i rzucać na dom kamieniami. O godzinie 7-mej wieczorem była tak wielka ciżba żydów przed domem doktora, że dostać się doń nie było podobna.

Wtedy to nadciągnął jakiś dziwny korowód żydów niosących owego żydka naznaczonego przez doktora Granowskiego, a krzycząc „rozbójnik, rozbójnik!“ przedefilował przed oknami domu doktora. Wrzaski te i niepokoje trwały aż do godziny 9-tej wieczorem. Sześciu policjantów zaledwie upilnowało domu doktora, i obroniło go od zburzenia.

Sceny te ponowiły się również podczas pogrzebu córeczki doktora. Na rodzinę doktora idącą za trumną, i na orszak pogrzebowych gości żydzi ciskali kamieniami, z których kilka uderzyło nawet o trumnę dziecka.

Możecie wyobrazić sobie, jak to brutalstwo żydowskie oburzyło chrześcijańską ludność miasteczka, które obecnie podzieliło się na dwa wrogie obozy. Wzburzenie w mieście panuje ogromne, i małej potrzeba tylko iskierki, aby tlejące to zarzewie gwałtownym wybuchło płomieniem. A dolewają żydzi oliwy do ognia i przez to, iż we wszystkich dziennikach, w których za pomocą swych licznych zdobytych pieniędzy mają wpływy, czynią jak najnikczemniejsze zarzuty doktorowi Granowskiemu, który oburzony kalectwem dziecka jednego, a już do rozpaczy prawie doprowadzony śmiercią córeczki, obszedł się ze złapanym złodziejem surowiej może, niż powinien, lecz zawsze jeszcze nie tak brutalnie, jak to uczynili żydzi.

W ogóle sytuacja w mieście naszem nie do pozazdroszczenia, i wszyscy lada chwila obawiają się wybuchu, gdyż szczególniej warstwy mieszczaństwa chrześciańskiego, rzemieślnicy i robotnicy, bardzo są na żydów oburzeni, i straszną grożą im zemstą tembardziej, że władze nasze bardzo obojętnie na sprawę tę się zapatrują, i nawet winnych żydów do odpowiedzialności nie pociągnęły. — W każdym razie jednak, nawet gdyby przyszło do czego, żydzi sami sobie winę przypisać muszą.

Huta korostowska 20 sierpnia. (Z życia kolonji). Szereg wycieczek kolonistów pierwszej serji zakończyła wycieczka na „Kreminnyj wirch“. Żmudna i uciążliwa droga prowadzi na tę jednę z najwyższych gór okolicznych. Na lewo od gościńca, prowadzącego do Węgier, wije się wąska ścieżka, usiana kamieniami formacji łupkowej na dość znaczny pagórek, z którego schodzi się łagodnie na trzy prześliczne polanki. Widać tu pasące się bydło rogate, które pozostaje na tych polankach aż do późnej jesieni. Z żalem opuszczamy to urocze miejsce, albowiem puszyście miękka trawa zaprasza nas niejako do odpoczynku.

Czas ucieka, spieszymy dalej, by niewygodną ścieżyną leśną wśród uroczysk i jarów dobić się do podnóża „Kremiennego wirchu“. Na niewielkiej przestrzeni spotykamy las rosnącego chrzanu i pokrzywy. Brodzimy odważnie przez te burzany, droga staje się niedostępniejszą, a okolica dzikszą. Kamienie usuwają się z pod nóg, — pot kroplisty zrasza oblicza kolonistów, lecz nadzieja dostania się na wierzchołek, pobudza nas do wytrwałości. Po trzygodzinnym forsownym marszu, dostaliśmy się wreszcie na szczyt „Kreminnego wirchu“.

Cudowny widok roztacza się w około. Szczyt „Kremiennego wichru“ okryty miękką trawą, u podnóża zieleń świerków i smerek, w oddali niebieskawe szczyty gór i widok na Skole i Stryj, oto prześliczna panorama, która wynagrodziła wszystkie trudy. Rozbijamy obóz. Z przyniesionych koszyków wyjmują koloniści chleb, masło, bryndzę, rozpoczyna się dzielenie po krótkim odpoczynku — apetyt doskonały, o czem świadczyły próżne koszyki i garnuszki z masła i bryndzy. Powrót o godzinie 4.

Koloniści drugiej serji odbyli również prześliczną wycieczkę na górę „Kiczerę“. Wyszliśmy o godzinie 8 rano do Koziewej, oddalonej o 5 kilometrów od Huty. W Koziowej nad Orawą przeszli koloniści czwórkami przez dość długą kładkę i tu dopiero zastósować można wiersz „w góry w góry miły bracie“. Zaraz za kładką wspinamy się sianożęcią w górę i dostajemy się na drożynę pełną śliskich kamieni poprzerywaną płynącemi z gór wodami. Otucha wielka — koloniści wytrwale pną się do góry, tu i ówdzie pozostaje jeden lub drugi, lecz tem prędzej nadciąga, by się z drugimi połączyć. Słońce bardziej dokucza, temperatura zwiększa się, tętno krwi się przyspiesza, w ustach wysycha, a nigdzie źródełka lub strumyka.

Niebo czuwa nad kolonistami — nie da im zginąć z pragnienia. — Na małym zrębie czernieją jak muchy w śmietanie doskonałe, dojrzałe ożyny. Koloniści uwijają się już pomiędzy krzaczkami — jedna chwila a nie znalazłby już nikt na lekarstwo ani jednej orzyny — widać tylko stłuczoną trawę i żałośnie pochylone krzaczki ożyn.

Ugasiwszy pragnienie, dążymy dalej. Wchodzimy na rozległą i pełną uroku połoninę. Wyniosłość góry się podnosi, nogi ustają. Odpoczywamy co kilka kroków. Widać już szczyt Kiczery — zdaje się, że kilka minut drogi, a tu siły odmawiają posłuszeństwa i droga wydaje się nieskończoną. W tem na szczycie Kiczery słychać głos trąbki a w przerwach bęben, to nasz dzielny dobosz kolonijny pierwszy wydostał się na szczyt Kiczery i stamtąd nawoływał swoich towarzyszy. I tym razem trudy zostały wynagrodzone, gdyż prześliczny widok na Koziowę, Hutę korostowską i Korostów wywoływał zachwyt kolonistów,

Jan Solecki.

Ze Staregomiasta piszą nam:

Dnia 17 bm. odbył się w Spasie festyn ludowy. Czysty dochód przeznaczono na zakupno organów do kościoła rz. k. w Staremmieście, którego budowa jeszcze w roku bieżącym przed zimą — jest w Bogu nadzieja — ukończoną zostanie.

Mimo że prawie w przededniu tego festynu nawiedził mieszkańców Staregomiasta straszny pożar, to przecież festyn jak zapowiadał się świetnie w początkach, tak też i świetne — jak na okolicę naszę — przyniósł rezultaty.

Gorliwym staraniom pań, tak miejscowych jak i zamiejscowych, które zbieraniem fantów zająć się raczyły, zawdzięcza komitet, że mu ładnych a nawet i kosztownych fantów 471 doręczono, a prócz tego jeszcze 170 zł. w gotówce oddano. — Święte to są słowa naszego Pola:

„A chociaż życie idzie po grudzie...
Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie!“

Nieźli w parafji staromiejskiej, nieźli i w jej sąsiedztwie. I owszem dobrzy, bo dobroć swą okazali i tem jeszcze, że mimo niezwykłego upału w dniu 17 bm. jak licznie się na festyn zjechali, iż ze wstępu na festyn i ze sprzedaży biletów na przedstawienie amatorskie 192 zł., a ze sprzedaży losów 212 zł. uzbierano. — Jeżeli od kwot powyższych odciągniemy 133 zł. wydane na przedwstępne urządzenie festynu, to mimo tego pozostanie jeszcze na zakupno organów ładna sumka 415 zł.

Cześć Wam więc, Panowie i Panie, którzyście trudów swoich nie szczędząc, przyczynili się do osiągnięcia tak świetnego rezultatu z tego festynu, a sprawione w przyszłości organy Waszem staraniem i ofiarnością, chwaląc Boga, niechaj w długie lata wychwalają polskie serca Wasze!

Ogromną owację urządzono w Kissingen ks. Bismarkowi, który po raz szestnasty z rzędu przybył tam dla kuracji. Wyprawiono więc tej upadłej wielkości pochód z pochodniami, śpiewano oczywiście „Wacht am Rhein“, a po tej pieśni „O du mein Deutschland“, i wykrzykiwano w przestankach „Heil dir, du Schöpfer des Reiches“! Jakiś Anglik tubalnym głosem zawołał: „Great Bismark, the macker of history, hip, hip, Hurrah!“ a rozczulony ks. ekskanclerz serdecznie dziękował tłumowi za te dowody czci i przywiązania do jego osoby i całując córeczkę burmistrza, która mu wręczyła bukiet, rzekł do niej: „Pamiętaj moje dziecko, że to siedmdziesięcioletni kanclerz ciebie całuje.“ Do księgi pamiętnikowej wpisał ks Bismark tylko te słowa: „Von Bismark, honorowy obywatel miasta Kisingen, gość coroczny w tem zdrowisku od r. 1875.“

Odpowiedź od Administracji. Przew. ks. Wojciech Górski w Kołaczycach — Uczynimy według życzenia.

Rozmaitości.

— **Przyszły bogacz świata**. Młody wice-hrabia Belgrave, wnuk księcia Westminsteru i jedyny jego spadkobierca, jeżeli dożyje do czasu, aby odziedziczyć majątek po swoim dziadku, będzie bezsprzecznie najbogatszym człowiekiem na świecie. Najbogatsza dzielnica Londynu, znana obecnie pod nazwą Belgravia, należy do księcia Westminsteru, i nabytą była przez jego przodków blisko sto lat temu. Obecnie, wszystkie majątki księcia Westminster'u razem wzięte dają 1,000 funtów sterlingów *dziennego* dochodu a wedle ścisłego obliczenia za lat kilka summa ta wzrośnie dziesięćkrotnie. Należy jeszcze w tem miejscu dodać, że książę Westminsteru ma w swoich stajniach wyścigowych najsłynniejsze rumaki świata, które przynoszą właścicielowi miljony rocznego dochodu.

— **Galanterja królewska**. Królowa Wiktorja podczas odwiedzin u króla belgijskiego zasmakowała w ciastkach, podanych jej do herbaty. Na dworze króla Leopolda znajduje się jeden kucharz specjalnie do pieczenia ciastek i on posiada sekret przyrządzania ich. Król Leopold, widząc, że jego ciastka spodobały się tak królowej angielskiej, polecił wysłać pod jej adresem całą skrzynię tych smacznych ciastek. Królowa, odpłacając za grzeczność, posłała do Brukseli słoik konfitur, które własnoręcznie przyrządziła w swojej rezydencji w Windsorze.

— **Nowe komety.** W dniu 18 lipca r. b. odkrył Coggia w Marsylji jednę, a w d. 24 tegoż miesiąca Denning w Bristolu drugą teleskopową kometę. Obie pojawiły się na północnej półkuli nieba; pierwsza pomiędzy gwiazdami Ostrowida, a druga w gromadzie Smoka! Są to komety gołem okiem niedostrzegalne; mają drogi nachylone pod znacznemi kątami do ekliptyki i odległości od ziemi większe, aniżeli słońce. Kometa Coggia już przeszła w d. 8 lipca przez punkt przysłoneczny; utraca swój niewielki blask i zapewne wnet zniknie, gdy bardziej jeszcze oddali się od ziemi; kometa zaś Denninga przejdzie dopiero w dniu 25 września przez punkt przysłoneczny, zbliża się do ziemi i zwolna swój blask powiększa.

— **Piorun na wyżynach**. Z Grindelwaldu donoszą o wypadku, szczęśliwie wprawdzie zakończonym, nie codziennym jednak. Parę dni temu urzędnik z Gdańska, niejaki Gall, w towarzystwie przewodników: Kaufmana i Bravanda, odbywał wycieczkę do klubowego szałasu na szczycie Mönchjoch, z zamiarem zwiedzenia nazajutrz szczytu Jungfrau (Alpy). Bez trudności dostano się do szałasu, położonego na wysokości 3,299 metrów, w chwili jednak, gdy przystąpiono do zgotowania posiłku, zerwała się nagle szalona burza, podczas której piorun uderzył w szałas. Bravand trzymał właśnie w ręku talerz cynowy; prąd wyrzucił mu go z dłoni. Kaufman odczuł uderzenie, jak gdyby kija, Gall zaś obalony został na ziemię. Łyżki i widelce rozrzucił piorun po całym szałasie. Nadto pierwszy z przewodników otrzymał ranę z oparzelizny na ręku, drugiemu zaś piorun podbił oko. Gall i szałas żadnego nie ponieśli szwanku, w tym ostatnim jednak długi czas czuć było charakterystyczny zapach. Wypadek powyższy tak przeraził Galla, że zrzekając się zamierzonej wycieczki na Jungfrau, czemprędzej powrócił do Grindenwaldu.

— **Sprawa Eyrauda** zbliża się do rozwiązania. Rezultat śledztwa, zawierający się w sporej pace protokułów, oddano już sądom. Launay, jeden z domniemanych spólników w zbrodni, odpowiada z wolnej stopy za kaucją, strzeżony jednak pilnie przez policję w Sèwres, gdzie przebywa. Gabrjela Bompard spuściła znacznie z tonu, teraz dopiero otworzyły jej się oczy, czy też przestała udawać. Staranna do tej pory w stroju, od dwóch miesięcy zaniedbała się zupełnie. W czasie tym zestarzała się o jakie 10 lat. Eyrauda strzegą bacznie. Strażnicy czuwają dniem i nocą w jego celi. Mówi on w ogóle mało, choć od czasu do czasu ulega napadom szału. Zbrodniarz świeżo odbył dwie konferencje z swoim obrońcą.

— **Dzielny pływak.** O próbie nadludzkiej prawie wytrzymałości i odwagi, jakich dał dowód podczas powrotu swego z Indyj porucznik Wittich, donoszą z Amsterdamu:

Na pokładzie statku znajdował się obłąkany Afrykanin, który wyrwawszy się dozorcom wskoczył w morze. Na okręcie rozniosła się niewiadomo jakim sposobem pogłoska, że w morze wpadło dziecko. To usłyszawszy porucznik Wittich, bez namysłu rzucił się na ratunek. — Okręt płynął szybko, całą siłą pary; więc w oka mgnieniu oddalił się od miejsca wypadku, a gdy po chwili zwrócono go wstecz, bałwany uniosły odważnego oficera na taką odległość, że go wcale dojrzeć nie można było. Wobec tego statek popłynął w dalszą drogę. — Wittich ze swej strony usiłował zbliżyć się do okrętu; ale kiedy zobaczył, że go własnym powierzono losom, nie tracąc odwagi skierował się w stronę lądu i latarni morskiej, którą z daleka dostrzegł.

Po półczwartej godziny pływania porucznik dobił do lądu, cudem prawie niepożarty przez kajmany, których w miejscu tem było pełno. — Angielski statek, stojący właśnie przy latarni na kotwicy, odwiózł dzielnego pływaka do Suezu.

— **Amerykańskie wesele.** Podwójne a oryginalne odbyło się wesele dnia 13 bm. w Payson (Arizona). Nowożeńcami byli Tomasz Beach i Maggie Meadows, tudzież Karol Cole i Julja Hall.

Goście sproszeni na gody (około dwóchset osób) zebrali się wszyscy konno na jednej z głównych ulic miasteczka. Nowożeńcy również na dzielnych rumakach, drużki w amazonkach, a drużbowie w strojach pasterskich. Sędzia Birch także konno dopełnił ceremonji. Następnie ogłoszono, że Karol Meadows, brat jednej z nowopoślubionych, jako podarunek ślubny ofiaruje wszystko bydło, które nowożeńcy do zachodu słońca zdążą na pastwiskach pochwycić i napiętnować. Polowanie rozpoczęło się natychmiast. Panny młode dzierżyły piętna, panowie młodzi lassa. Goście towarzyszyli na łowy. — Do zachodu słońca upolowano 36 sztuk bydła.

— **Przepowiednia losu**. Morderca Bousquet w dzień skazania go na śmierć przez sądy, przepowiednią losu na kilka godzin przed wydaniem wyroku dowiedział się o jego treści. — W dniu tym, przeczuciem jakiemś wiedziony, na trzech kartach wypisał słowa: „Na śmierć“, „Do ciężkich robót“, „Uniewinnienie“, a uprosiwszy jednego z siedzących z nim razem więźniów, aby mu zawiązał oczy, rozrzucił owe trzy kartki po celi i jął szukać ich omackiem. Pierwsza, któraby mu się do ręki dostała, przepowiednią miała być jego losów.

Bousquet trafił na kartkę z napisem „Na śmierć“ a nie dowierzając losom, powtarzał swe doświadczenie trzy razy i za każdym razem wyrok na śmierć wyciągał. — To też gdy wieczorem doniesiono mordercy o zapadłym wyroku, odrzekł spokojnie: „Wiedziałem już o tem od rana.“

— **Ofiara kongresu.** Jako ofiara berlińskiego kongresu lekarskiego wystąpił w tych dniach w Paryżu niejaki Catulet, rodem z Lugdunu.

Siedząc na ławie na placu St. Germain l'Auxerrois, zwracał na siebie uwagę przechodniów głośnem swem rozprawianiem o przygodach, jakie go wrzekomo spotkać miały w Berlinie.

Właśnie — jak twierdził — powrócił z nad Sprei, gdzie lekarze zebrani na kongresie prześladowali go, pragnąc go oskalpować. Dwaj z nich trop w trop śledzili go, ale on opiera się im jak może; raczej śmierć poniesie, a oskalpować się nie da. — Mówiąc to, nieszczęśliwa ofiara kongresu dobyła noż z zamiarem odebrania sobie życia. W samę porę przeszkodzono mu w wykonaniu zamiaru i odwieziono go do szpitala.

Część ekonomiczna.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu**
Kraków 22 sierpnia.

Na dzisiejszym targu na Kleparzu ruch był dość ożywiony; poszukiwano żyta suchego, również cieszyły się dobrym odbytem jęczmiona i owsy, zaś tendencja co do pszenicy nie poprawiła się.

Płacono za pszenicę białą od 8·00 do 8·50; za czerwoną od 8·— do 8·40; za żółtą od 7·90 do 8·35; za żyto od 6.10 do 6·50; za jęczmień browarny od 6·— do 6·50; na paszę od 5·25 do 5·50; za owies od 5.60 do 6·—; owies nowy od 5·60 do 6·—; rzepak od 10·50 10·80. Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 21 sierpnia.

(*Z*) Niespodziewane obniżenie stopy procentowej przez bank londyński, podrożenie walut złotych, zaprowadzenie taryfy strefowej w Rosji dla przewozu zboża i przewidywany upadek benjaminka naszej spekulacji, węgierskiej fabryki broni, tak różnorodnie podziałały na dzisiejsze usposobienie naszego targu, iż równolegle ze spadkiem akcyj bankowych, wysprzedawanych przez zagraniczne giełdy, i papierów przemysłowych, na których notowania silny nacisk wywierał gwałtowny spadek węgierskich Waffenów, wyłoniła się zwyżka akcyj tych kolei, po których torach przewali się prawdopodobnie eksport rosyjskiego zboża. Wśród tak rozstrzelonej działalności naszego targu obniżyły się obie renty wspólne, lecz podniosła natomiast złota austrjacka i węgierska papierowa.

Równocześnie z podrożeniem walut złotych spadły dziś znowu ruble, a „na ultimo“ notowano je już tylko po 1·36 zł.

Ostatecznie notowano:

Kredyty austrjackie 307 25 węgierskie 353.50 Anglobanki 162·70, Uniony 240 25 Bankvereiny 120·— Länderbanki 232 30 Ludwiki 201·50. Czerniowieckie 228 50 Renta papierowa 88 05, srebrna 89 65 austrjacka złota 108 30 papierowa 101 25. węgierska złota 101 20 papierowa 99 65

Ruble 126¼

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 23 sierpnia. *Polit. Corr.* w obszernym komunikacie zbija obawy, że połączenie Wiednia z przedmieściami sprowadzi podwyższenie podatków bezpośrednich. Specjalnie co do podatku od budynków, to dla kilku przedmieść, które mogą być dotknięte połączeniem z Wiedniem, gdyż płacą dotychczas mniejszy podatek budynkowy, ustanowionym będzie długoletni okres przejściowy, a oprócz tego istnieje zamiar, aby przy nastąpić mającej wkrótce reformie podatków bezpośrednich zniżyć podatek domowo-czynszowy w ogóle, a więc i dla Wiednia.

Wiedeń 23 sierpnia. Wczoraj w południe zaciągnęła część czwartego bataljonu bośniackiego pierwszą wartę w pałacu cesarskim. Wielkie tłumy ludności towarzyszyły tym żołnierzom gdy szli na wartę. Jutro zluzuje ich pierwszy bataljon bośniacki.

Wiedeń 23 sierpnia. Tutejsza rada gminna uchwaliła wnieść do Rady państwa petycję o pomnożeniu liczby posłów do Rady państwa, wybieranych przez miasto Wiedeń.

Wiedeń 23 sierpnia. Oficerowie bośniacko-hercegowińskich bataljonów przybyli do ministra Kallay'a, aby wyrazić podziękowanie za życzliwe przyjęcie bataljonów bośniackich w Wiedniu. Kallay daje dziś po południu obiad dla oficerów, na który zaproszono także i ministrów.

Wiedeń 23 sierpnia. Hr. Taaffe wyjechał na kilka dni do Ellischau.

Dziś otwarto uroczyście nowo zbudowany pałac giełdy zbożowej w obecności ministra handlu, zastępcy ministerstwa wojny i namiestnika Prezydent magistratu Naschauer pozdrowił ministra handlu długą przemową, w której złożył rządowi a wszczególności ministrowi handlu podziękowanie, za opiekę jego i poparcie handlu zbożowego. — Dalej wyraził swą niewypowiedzianą wdzięczność dla Cesarza za jego łaskę jaką otacza on prawa giełdowe i wzniósł okrzyk na cześć Jego, który zgromadzeni z entuzjazmem powtórzyli.

W odpowiedzi na tę przemowę, zaznaczył minister handlu, iż rząd zawsze uzna i wspierać będzie czynności giełdy, które przyczyniają się do ogólnego wzrostu gospodarczego obrotu, i dlatego też może giełda liczyć zawsze na poparcie ze strony rządu. Następnie wszyscy zwiedzali gmach giełdy.

Fulda 23 sierpnia. Obrady konferencji biskupów zakończyły się wczoraj uroczystem nabożeństwem odprawionem u grobu świętego Bonifacego. Uchwały konferencji zachowane są w tajemnicy.

Mons 23 sierpnia. Zmowa robotników coraz więcej się rozszerza, tak, że dziś bastuje około 12.000. Wszędzie panuje spokój.

Petersburg 23 sierpnia. Familja carska i goście przybyli wczoraj wieczorem do Peterhofu.

Nowy Jork 23 sierpnia. Służba kolejowa zatrudniona przy pociągach ciężarowych centralnej kolei illinoiskiej zażądała podwyższenia płacy. Maszyniści i palacze północno-zachodniej kolei zaprzestali pracy i również żądają podwyższenia płac. Ruch wstrzymany, po dworcach stoi wiele długich pociągów napełnionych mięsiem.

Londyn 23 sierpnia. Doniesienie z Irlandji stwierdzają, iż w okręgu Timoleaque w hrabstwie Cork panuje straszny głód. Z 8000 mieszkańców, 3000 pozostanie bez najmniejszych środków do życia, jeżeli w przeciągu miesiąca nie przybędzie im pomoc. Wielu mieszkańców zachorowało wskutek spożycia zepsutych kartofli.

Kopenhaga 23 sierpnia. Dziś rano odpłynęła stąd eskadra austrjacka. Majtek Schantz, ranny podczas pożaru, ma się już lepiej.

Paryż 23 sierpnia. Półurzędownie donoszą, że kilka wojennych okrętów francuskich otrzyma prawdopodobnie rozkaz udania się na dzień 22 września do Spezji i powitania tam króla Humberta imieniem Carnota, gdyż w dniu tym udaje się Humbert do Spezji, aby być obecnym przy spuszczeniu na wodę nowego okrętu wojennego włoskiego, a okręty włoskie kilka razy już oddawały Carnotowi ten honor.

Nowy Jork 23 sierpnia. Parowiec „Augusta Wiktoria“ przybył tutaj i przywiózł 363 podróżnych rozbitego okrętu „Dania“.

Petersburg 23 sierpnia. Wczoraj odbył Caprivi naradę z Giersem.

Wieczorem ambasador niemiecki Schweinitz dał na cześć kanclerza dyplomatyczny obiad.

Dziś wyjechał Caprivi do Peterhofu.

Madryt 22 sierpnia. Przedwczoraj zachorowało na prowincji 73 osób na cholerę; umarło zaś 43.

Zara 23 sierpnia. Z powodu ciągłego nadzwyczajnego gorąca zdarzyło się kilka ciężkich porażeń od słońca

Na górach Velebitu wszczął się wielki pożar lasów i traw na łąkach.

Nowy Jork 23 sierpnia. Wbrew dotychczasowym doniesieniom piszą tu z La Libertad, iż rzeczpospolita San Salvadoru odrzuciła warunki pokojowe, przedłożone jej przez ciało dyplomatyczne z Gwatemali, i dlatego prawdopodobnem jest, że wojna na nowo się rozpocznie.

Paryż 23 sierpnia. *Liberté* zaznacza, że możliwem jest zejście się konferencji, mającej obradować nad ogólnem rozbrojeniem się Europy; sądzi jednak, że wydałaby ona jakieś owoce dopiero wtedy, gdyby co się tyczy Bułgarji trzymano się ściśle przepisów kongresu berlińskiego, i gdyby Niemcy zrzekły się swego zwierzchniczego stanowiska i oświadczyły jakie odszkodowanie chcą one dać Francji za zdobycze swe wywalczone w roku 1870 i za wywołaną przez to nienawiść narodową.

Dzienniki zaprzeczają wiadomości o wybuchu cholery w Marsylji.

Frankfurt 23 sierpnia. *Frankfurter Zeitung* ogłasza oświadczenie jeneralnych konsulów Stanów Zjednoczonych w sprawie bilu Mac Kinleya. Oświadczenie to zaprzecza pogłosce, że uchwalono zmodyfikować bil Mac Kinleja. Konferencja konsulów, która odbyła się w Paryżu, uchwaliła jedynie jednolitą interpretację tego bilu.

Akwisgran 23 sierpnia. Nad halą maszynową nowej szkoły tkackiej zawaliło się wiązanie dachowe. Jeden z robotników zginął pod walącemi się belkami na miejscu, ośmiu zaś ciężko rannych.

Nowy York 23 sierpnia. Przewodniczący stowarzyszenia „Knights of labour“ Powdaly w wydanym manifeście wzywa wszystkich robotników, aby się łączyli w stowarzyszenia robotnicze w celu wspólnej walki przeciw monopolowi.

Londyn 23 sierpnia. W rządowej fabryce prochu w Waltham-Cross nastąpiła wczoraj eksplozja. W gruzach walącego się budynku zginęło wielu robotników. Dotychczas wydobyto tylko dwa trupy.

Przyjechali do Lwowa
21 sierpnia 1890.

HOTEL GEORGA. J. hr. Wodzicka z Olejowa. A. Czaykowski z Dusanowa. O. Schnell z Firlejówki. E. br. Hagen z Czerniowiec. L. Rychlicki z Nowoszyc. H. Dolański z Grębowa. R. Grocholski z Rożysk. J. Borowski z Drohomyśla. Z. Stojowski ze Stanisławowa.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 23 sierpnia godz. 1. min. 40.

Akcje kredyt.	307.15	Węg. kolej półn. wschodn	196 —
Alpiny	99 —	Wiedeńskie losy kom.	149 50
Kredyty węg.	350 50	Akcje tyton	126 75
Anglobanki	162.75	Gal.obl.indem	104 25
Uniony	238.—	Elbethale	235 25
Ludwiki	203·—	Länderbanki	232.70
Nordbany	277	Renta zł. węg	100.95
Lombardy	150 90	Bankvereiny	120 —
Losy tureckie	35 30	Renta węg. pap	99 40
Staatsbahny	239·75	Ruble	136 50
Czerniowieckie	227.75		

Usposobienie spokojne.

Lwów. Z Izby handlowej 23 sierpnia 1890

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud.,200 zł. w, a.	199 —	202 —
„ lwow.-czor-jass. 200 zł. w. a.	228 —	231 —
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	296 50	299 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hipot. 4½% wa. los. w 50 lat.	98·65	99·35
Banku hyp. galic. 5% „ „ 40 „	101 35	102 05
Banku hyp. galic. 5% z 10% pr.	107 30	108 —
Banku krajowego 4½% wa	99 —	99 70
Tow. kred. galic. 5 „ „	100 60	101 30
„ „ „ 4 „ „ nieokr.	98 —	98 70
„ „ „ 5 „ „ los w 37 l.	100 60	101 30
„ „ „ 4 „ „ „ 41½	95 40	96 10
„ „ „ 4½% „ „ 52 l.	100 10	100 80
„ „ „ 4 „ „ 56 „	95 —	95 70
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wl. (daw. 6%) 3% w likw.	58 50	61 —
„ „ „ „ (daw. 5%) 2½% „	49 50	52 50
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 pro. m. k.	104 —	104 70
Galic. fund. propinacyjnego 4% „	92 70	93 40
Kom. banku kraj. 5 pro. w. a. I. em.	100 70	101 40
Pożyczka kraj. z r 1873 6 pro. w. a.	104 50	— —
„ „ „ 1883 4½% „	98 70	99 40
5. Losy:		
Losy miasta Krakowa	22 50	24 —
„ „ Stanisławowa	28 —	30 —
6. Monety		
Dukat holenderski	5.29	5.39
Dukat cesarski	5 33	5.45
Napoleondor	8 95	9 10
Półimperjał rosyjski	9.40	— -
Rubel rosyjski srebrny	1.37	1.47
„ „ papierowy	1. 5½	1 37½
100 marek niemieckich	55 20	56 —

Pociągi kolejowe.

Podług zegaru lwowskiego (Od 1 czerwca 1890)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg pośp. kurjer	Pociąg osobowy	Pociąg [illegible]	Pociąg [illegible]
Z Krakowa	4·05	9·28	8·60	7·16
Z Podwołoczysk	2·20	7·30		8·16
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2·08	7·01		2·88
Za Suchy, Chyrowa, Stryja, Husiatyna i Stanisławowa		8·36		
Z Budapesztu, Munkacza, Ławocznego, Stróżego, Chyrowa, Stryja, Husiatyna i Stanisławowa		12·08		
Z Suczawy Czerniow. i Stanisł.		6·58		
Z Bukaresztu, Jass, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa		2·—		
Z Bukaresztu, Jass, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa	6·—			
Z Bełzca (Tomaszowa)				6·41
Z Bełzca tylko we wtorki i piątki				10·17
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	8·30	4·20	7·20
Do Podwołoczysk	4·11	9·50		10·85
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4·22	10·15		11·06
Do Stryja, Chyrowa, Stróżego, Ławocznego, Munkacza, Budapesztu, Stanisławowa i Husiatyna		5·50		
Do Stryja, Chyrowa i Suchy		10·20		
Do Stryja, Chyrowa, Suchy, Ławocznego, Munkacza, Budapesztu, Stanisł. i Husiatyna		8·45		
Do Stanisławowa, Czerniowiec, Jass, Bukaresztu i Husiatyna	9·16			
Do Stanisławowa, Czerniowiec, Jass i Bukaresztu		4·30		
Do Stanisławowa, Husiatyna, Czerniowiec i Suczawy		10·16		
Do Bełzca (Tomaszowa)				8·08
„ „ tylko w piątki				2·29
„ „ tylko we wtorki				4·48

Uwaga: Godziny podkreślone linijką oznaczają porę nocną od godziny 6tej wieczorem do 5 godz. 59 m. rano

13)

ZŁY DUCH.

(LA DUSCHESSE D'ALVARÈS.)

Przez

PIOTRA ZACCONE.

Przekład z francuskiego **E. Z.**

(Ciąg dalszy).

— Dlaczego jednak nim być przestałeś?
— Co wam do tego?
— Jednak musi być jakiś powód tej zmiany.
— Być może.
— I nie chcesz się nam zwierzyć?
— Po co?
— A więc zmuszasz nas do odgadnięcia owej zagadki bez twej pomocy.
— Lucjanie!

Młody dyplomata serdecznym wybuchnął śmiechem.

— O! nie obawiaj się niczego! — ciągnął dalej wesoło — my dyplomaci z powołania naszego musimy być deskretnymi i jeżeli uda mi się odgadnąć twoję tajemnicę, to całemi siłami starać się będę ukryć ją przed drugim. Ale w tym razie nie ma żadnej tajemnicy, gdyż całemu naszemu światu wiadomo, że zmianę twoję spowodowało zniknięcie Ireneusza de Maleville.

Na te ostatnie słowa wszyscy biesiadnicy poruszyli się, a oczy ich zwróciły się ciekawie na Jerzego de Brécé.

— Przyznaj, że odkryliśmy przyczynę? — nastawał dalej Lucjan.

Jerzy w pierwszej chwili zdawał się zmięszanym, ale po namyśle, skinieniem ręki potwierdził.

— W istocie, masz słuszność, wcale z tem się nie kryję, to zniknięcie do tej pory cięży mi na sercu i dlatego odzyskać nie mogę dawnego spokoju. Zaskoczyło mnie to tak niespodzianie... zniknięcie to okryte jest taką grubą zasłoną.

— Że w tem jest coś niejasnego, temu nie przeczę — przerwał mu Lucjan — ale żeby ta tajemnica miała pozostać nieprzejrzaną, temu nie wierzą.

— Jakto? co chcesz przez to powiedzieć? — wyszeptał Jerzy.

— Ależ wielki Boże, to bardzo naturalne, gdybyś się był mnie zwierzył, od razu byłbym ci udzielił pewnych objaśnień, które z pewnością przywróciłyby ci spokój.

— Czyż być może?
— Niewątpliwie.
— A więc wiesz co się stało z Ireneuszem? — Mówiąc to Jerzy, zwrócił się do swego przyjaciela i z niepokojem oczekiwał jego odpowiedzi.

Reszta towarzystwa była również zaciekawioną, a nawet pan de Marpont-Beauvert przysłuchiwał się uważnie rozmowie dwóch młodych ludzi.

Lucjan pierwszy przerwał milczenie.

— Co się właściwie przytrafiło Ireneuszowi, tego wprawdzie nie wiem — rzekł trochę szyderczo — ale pewne osobiste dane doprowadzają mnie do wniosku, że jeżeli naraził się na niebezpieczeństwo, to jednak każdy z nas czułby się szczęśliwym na jego miejscu.

— Wytłómacz się jaśniej — przerwał Jerzy z widocznem obrażeniem.

— Słuchaj! Wróćmy się do minionego sezonu... byłem wtedy w Madrycie; otrzymałem urlop, który miałem przepędzić w Biarritz. Przybywszy, zastałem już tam Ireneusza de Maleville i od pierwszej mojej z nim rozmowy poznałem, że jest wplątany w miłosną intrygę z najpiękniejszą z kobiet, jaką sobie tylko wyobraźnia stworzyć może... Muszę tu jeszcze dodać, że w chwili, kiedyśmy się raz pierwszy spotkali, Ireneusz otrzymał już od niej wszystko, czego tylko mógł żądać.

— Cóż to był za rodzaj kobiety? — zapytał jeden z młodych ludzi...

— Dama bardzo znakomitego rodu.
— Która zapewne nie wyjawiała swojego nazwiska.
— Ależ pozwólcie, nie chcę być niedyskretnym.
— Bądź nim, prosimy.

— Powiem wam tylko, że właśnie w tym czasie bawiły w Biarritz, trzy wielkie damy, które trzymały się ciągle razem, trzy Hiszpanki. Tłumy młodzieży otaczały je ciągle, najpierw dla tego, że były piękne, ale to piękne w całem znaczeniu tego wyrazu; powtóre, że jak mówiono, obyczaje miały swobodne... a wiecie z doświadczenia, że dla młodych ludzi, jak my, takie stosunki są najprzyjemniejsze...

— Te wielkie damy nazywały się?...
— Jedną z nich była księżna d'Oliveira, drugą księżna d'Alvarès, a trzecią księżna de Marana.
— Tam do kata! trzy księżne i do tego autentyczne, niezaprzeczone...
— Tym, którzy mieli to szczęście znać je z bliska, nie przyszło na myśl żądać od nich dowodów heraldycznych.
— Ireneusz musiał zapewnie należeć do tej liczby.
— Właśnie.
— Ależ to jeszcze nie tłómaczy jego zniknięcia.
— Na pierwszy rzut oka nie, ale ja zgłębiłem tę kwestję i powiadam wam, że wszystko to jest tajemnicą miłosną i w chwili, kiedy się o niego niepokoimy, on, jak istne dziecko szczęścia, ukrywa się ze swoją kochanką w jakim nieznanym nam zakątku Paryża i może drwi sobie z naszych niepokojów i obawy.
— Ale przyjmując twój wniosek, trzeba, aby i księżna była w Paryżu.
— Jest ona właśnie tutaj.
— Czyś ją widział?
— Tak, jak ciebie teraz.
— Gdzie?
— Na balu Opery 7 lutego, w loży między kolumnami.

Jerzy zbladł.

Słowa te obudziły w nim bolesne wspomnienia i kiedy Lucjan przypuszczał, iż Ireneusz de Malleville oddaje się cały swojej miłości, on widział go rozciągniętego na śmiertelnem łożu, ze straszną raną w piersiach.

— Przypuśćmy, że masz rację, a że ja niepotrzebnie się lękam; w każdym razie, chciałbym jaknajprędzej wyjść z tego labiryntu domniemań i z niecierpliwością wyglądam chwili, kiedy to wszystko wyjdzie na jaw.

Śniadanie skończyło się; wszyscy powstali a Jerzy właśnie zbliżał się do fajczarni, gdzie zwykle paląc cygaro, pijał czarną kawę, gdy nagle uczuł rękę obcą na swojem ramieniu.

Odwrócił się szybko.

Był to pan de Marepont-Beauvert.

— Przepraszam cię, panie de Brécé — rzekł dostojnie — ale już od dni kilku życzę bardzo rozmówić się z panem, czy możesz poświęcić mi chwil kilka?

— Z największą przyjemnością — odparł Jerzy — o cóż panu idzie?
— O pańskiego przyjaciela.
— Lucjana?
— Nie, o Ireneusza de Malleville.
— Ach! jestem najzupełniej na pańskie rozkazy.
— A więc chodź, kochany panie, a może połączywszy wspólne nasze siły, potrafimy wyjaśnić cokolwiek z tego wszystkiego, co do tej pory jest tak zupełnie ciemnem i tajemniczem.

XIII.

Meksykanin.

Jerzy i p. de Marepont, przeszli do ogromnego salonu, w którym urządzoną była czytelnia klubu.

Przez chwilę milczeli, wkrótce Jerzy de Brécé, którego ciekawość do najwyższego stopnia była obudzoną, zwrócił się do swego towarzysza.

— Pan chciałeś rozmówić się ze mną — powiedział wzruszony — obiecałeś mi mówić o Ireneuszu de Maleville?
— Tak w istocie — odparł sądownik.
— Czy wiesz co nowego? czy czasem policja czego nie odkryła?

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak